Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 7 lipca 1935 r. Nr. 27.



Letnia idylla

W oddali zachód płonie tęczowy,
Cisza wieczorna już świat otula
I pieśń pastusza ostatnie tony
Niesie w doliny, puste parowy...

Zachód już letni dobiega końca,
Pośród ugoru dwaj bosi pastusi,
Jakby wycięci z jasnego obrazka,
Fujarką złote żegnają słońce...

I płynie drżąca piosnka dąbrową.
Echo ją niesie szerokiem polem —
Nim zachód zgaśnie na niebios błękicie,
Wiatr w dal uniesie pieśń fujarkową.

Marja Zemmlerówna.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

10)

Z doktorową sprawa zaczynała przedstawiać się zupełnie poważnie. Pułkownik ginął na całe popołudnia, nawet niedzielne, zaniedbał konną jazdę i tenis.

I tym razem nie płakała pułkownikowa, nie łamała rąk, nawet nie wyjeżdżała do Warszawy. Pisała za to list za listem do krewnych i przyjaciół.

I nagle, niespodziewanie dla samego siebie pułkownik znalazł się na stanowisku szefa sztabu D.O.K. o setki kilometrów od niebezpiecznej dla serc męskich doktorowej-uwodzicielki.

A najważniejszem było to, że nie wiedział komu i czemu przypisać to przeniesienie.

— — — — — — —

— Chcesz i mnie złapać na przynętę kochaneczko — myślała z gryzącą ironją.

— Najpierw arogancja, lekceważenie, a potem przyjaźń.

— Dosyć mam już tych nadętych pułkownikowych.

— Pragniewiczowa... ta smarkata z góry... a teraz ta purchawka Daszkowska, z którą był czas, że byłam prawie na „ty".

— Poczekaj, zagram ci na nosie! Pożałujesz swej wyniosłej miny!

W wojsku, czy też w urzędach rządowych, a nawet prywatnych przedsiębiorstwach człowiek zaczyna się dopiero od majora, dyrektora, kierownika biura, naczelnika urzędu lub wydziału wzwyż. Może to być osobnik nawet mało inteligentny, gbur, ograniczony, ociężały, a mimo to uważa siebie za osobę wyższą od jakiegoś tam kapitana, porucznika, referenta, niższego, choćby najzdolniejszego urzędnika.

— Ja to powiedziałem, ja tak sądzę... wystarcza.

To samo panuje w odniesieniu do żon oficerów i urzędników.

Nic nie znaczą dyplomy uniwersyteckie, odznaczenia naukowe, wychowanie, ułożenie, gdy się jest tylko porucznikową, referentową, żoną kasjera lub książkowego.

Wszystko to blednie i maleje i staje się nic nieznaczącą drobnostką w aureoli wielkości stanowiska żony majora, pułkownika, dyrektora, naczelnika, czy to w jakiem ministerstwie, czy też w Kasie Chorych.

Przypomniała sobie, że żona jednego z szefów z licznych szefostw w D.O.K. do współki z pułkownikową Pragniewiczowa i udziałem żon urzędników zakładów fabrycznych i składnicy uzbrojenia chciała urządzić gwiazdkę dla dzieci robotników warsztatowych. Zwołała zebranie, na którem wyłoniono komitet z inicjatorką jako przewodniczącą na czele.

Była to brzydka, koścista Rosjanka, córka pijaczyny leśniczego z pod Smoleńska, czy Witebska. Pułkownik, jako porucznik piechoty, złakomił się na jej posag, wynoszący parę tysięcy rubli i ożenił się z nią.

Niewykształcona, bez żadnego wychowania i wyrobienia towarzyskiego, rozparta w fotelu przedstawiała niedorzeczne projekty nie do przyjęcia i wszystkie zebrane panie, choć między niemi nie brak było wykształconych i inteligentnych, słuchały i aprobowały je pokornie. Tylko ona jedna zaprotestowała.

— Gdyby tak malarz mógł ujrzeć wyraz twarzy tej pani, oburzenie malujące się w całej postaci i te kose oczy, utkwione w ścianie, a przeznaczone do skarcenia jej, mógłby stworzyć arcydzieło i zatytułować je: — Święte oburzenie.

— Chyba jasno się wyraziłam — wycedziła przez zęby drżącemi z irytacji wargami pułkownikowa.

Ten wyraz twarzy, te słowa mówiły dobitnie: — jak ona śmie „takie coś", tylko rotmistrzowa rezerwy, tylko żona urzędnika, robić mnie, pułkownikowej uwagi...

— Boże, jaka ze mnie jednakże z gruntu zła kobieta — pomyślała ze zdziwieniem, sama przerażona ilością goryczy, nagromadzonej w jej duszy.

— Nie moja to wina — usprawiedliwiała się.

Nic złego nie zrobiłam nikomu, a tembardziej tym trzem kobietom, a one poją mnie każda po kolei żółcią upokorzenia, nawet Sznelińska.

— Pokażę im również, że i ja potrafię odciąć się. —

Zabrała się znów do pracy, ale nie długo. Oderwał ją od niej nowy dzwonek, tym razem u drzwi wejściowych. Machinalnie poprawiła włosy i szła otworzyć. W obramowaniu drzwi stał przed nią pułkownik Daszkowski.

Nie zdziwiła się na jego widok ani zmieszała, tylko twarz jej pokryła się rumieńcem podniecenia.

— Miałem interes w tych stronach i nie mogłem oprzeć się pokusie złożenia pani swego uszanowania.

— Proszę, pan pułkownik pozwoli dalej.

W świetle dnia, w codziennej sukience, nieuróżowana ze zmęczonemi oczami wydała mu się inną, ale również pociągającą. Patrzył już na nią po przez różowe szkła zainteresowania.

— Dlaczego pani wczoraj uciekła z sali — pytał z wyrzutem.

— Bałam się pana pułkownika — rzuciła mu przynętę.

W oczach mężczyzny zamigotały blaski podniecenia.

— Taki straszny jestem — pytał przysuwając się do niej blisko i robiąc ruch jakby ją chciał ująć za rękę. Cofnęła się szybko z tym samym uprzejmym wyrazem twarzy. Podsunęła mu fotel. — Proszę, niech pan pułkownik siada. Sama usiadła dalej od niego za stolikiem, jakby chciała się odgrodzić od jego poufałości.

— Myślał pan o mnie?

— Bardzo, całą noc.

— To nie dużo — zażartowała — bo nie miał pułkownik tej nocy więcej niż pół godziny. Przecież zabawa skończyła się o 6.30.

Zaśmiał się. — Ma pani rację... ale najlepszy dowód, że dużo myślałem o pani, kiedy tu jestem.

— I narażam mnie na plotki — dokończyła.

Zrozumiał przymówkę i wstał.

Gdzie się spotkamy? pytał, patrząc jej pieszczącym wzrokiem w oczy.

— Będziemy dziś po południu w Warszawiance, może i państwo pułkownikostwo tam się wybiorą.

— Ja będę napewno — podkreślił.

— Właśnie przed chwilą pułkownikowa telefonowała, zapraszając nas do siebie — powiedziała z niewinną miną, udając, że wierzy w te obiecane fotografje.

— Pułkownik spojrzał szelmosko na panią Gabrynię i gwizdnął przeciągle — Ach tak?......

— Tak... tak... powtórzyła. — Nie mnie jednak złapie na stare kawały — dodała — Odmówiłam.

Zaśmiał się zdrowym wesołym śmiechem.

— A więc do popołudnia w Warszawiance.

Pocałował ją dwa razy w rękę i wyszedł.

Chwilę brzęczały w sieni ostrogi, stukała szabla miarowo nim doszedł do progu.

Pani Gabrynia rozbawiona po raz trzeci zabrała się do swej roboty.

Znów dzwonek. Pani Zaza wtoczyła się do pokoju zaciekawiona, podniecona.

— To u pani był szef sztabu z wizytą? pytała już od progu.

— U mnie, zaprosił nas do Warszawianki na dziś popołudniu, na ciastka.

— Obojga państwa, czy też tylko panią — spytała z niewinną na pozór miną.

— Oboje — zaznaczyła pani Gabrynia.

— Pani wie, że z niego straszny kobieciarz, nie daruje żadnej — ostrzegała ją pani Zaza.

— O ile słyszałam interesuje się tylko ładnemi — odcięła się. Płatnikowa popatrzyła na nią z ukosa i pomyślała pogardliwie! — I taka wyobraża sobie, że jest ładna. Świat się przewraca do góry nogami!

Nie siedziała długo. Aż ją podrywało, by lecieć dalej i nieść plotkę od piętra do piętra. Plotka ta wzrastała z każdym przebytym stopniem, aż doszła do potwornych rozmiarów.

— Siedział u niej dwie godziny. Wyprawiła służącą do miasta, niby z dziećmi na spacer. Była z nim sama, a wiadomo przecież, co on za numer!

— Naprawdę idzie z nim dziś do cukierni — dopytywała się pani Protopow.

— Idzie... idzie... sama mi mówiła.

— Wiecie, chodźmy i my, — zadecydowała pani Wisia i Lilka.

— Chodźmy — zgodziły się. — Namówmy panią Renę, by z nami również poszła.

Trafiły dobrze. Pułkownik spał, a pani Rena nudziła się, ziewając nad książką.

Ucieszyła się z projektu cukiernianego.

— A możeby tak pani pułkownikowa zatelefonowała do pułkownikowej Daszkowskiej spytać się jej, czy będzie.

Duch przekory wstąpił w panią Renę.

— Zatelefonuję, by popsuć szyki temu lekkoduchowi.

Zdziwiła się pułkownikowa Daszkowska, gdy pani Rena zaproponowała, by razem wybrały się do cukierni.



Po niefortunnej jeździe do Ameryki b. popularna ongiś Lilian Harwey wróciła do Niemiec. Witano ją bardzo serdecznie w Berlinie, zasypując poprostu kwiatami. Oto artystka w towarzystwie Willy Fritscha.

— Podobno państwo mają być dziś w Warszawiance, możebyśmy razem poszli.

Zawahała się, co odpowiedzieć i w telefonie zapanowało milczenie chwilowe. Przemogła się. Ależ naturalnie, będzie nam bardzo miło. —

— Heniu, zwróciła się do męża, gdy siedzieli przy obiedzie. Umówiłam się w twojem i mojem imieniu do cukierni z pułkownikową Sznelińską. Mamy tam być na czwartą.

— Djabeł nie kobieta — pomyślał z irytacją — a głośno dodał — owszem, możemy iść... Psiakrew — zaklął w duszy.

* * *

— Oleg, wiesz, piękny Henio był u mnie dziś? —

Położył łyżkę, którą niósł do ust, z powrotem na talerz z zupą i ze zdumieniem wpatrzył się w żonę.

— A on czego tu chciał?

— Do mnie przyszedł i tylko dla mnie. Robię się modną i to wszystko dzięki sługębnej pannie plotek.

Umówiłam się z nim do cukierni na dziś. O czwartej pójdziemy do Warszawianki.

Popatrzył na nią z wyrzutem. — Nie poznaje swojej żony. Twarz jej spochmurniała, przybrała wyraz twardej zaciętości.

— Muszę jej dać nauczkę, kiedy mi się nadarza sposobność.

Pogłaskał ją z czułością po ręce.

— Nie lubię tego... Obmówią cię...

Wzruszyła ramionami. I tak już mnie obmówili.

* * *

W cukierni zajęli stolik na dwie osoby niedaleko drzwi i kazali sobie podać ciastka i kawę.

Kilka stolików dalej siedziały: pułkownikowa Sznelińska, pani Wisia i Lilka. Ukłoniła im się uprzejmie.

— Są... czekają jak ci mówiłam. — zwróciła mu uwagę na stolik.

Rozglądała się, witała znajomych, przyglądała się sylwetkom kobiecym, spoglądając dyskretnie na drzwi. Ciekawa była czy przyjdzie i czy z żoną, czy sam.

Przyszli oboje.

Pułkownikowa podążyła do stolika pani Reny, pułkownik przysiadł się odrazu do Gozdawów.

Pani Gabrynia odwróciła głowę ku stolikowi, przy którym usiadła pułkownikowa i rzuciła zebranym tam paniom szybkie, triumfujące spojrzenie.

Gdy się opróżnił stolik środkowy na 6 osób, pułkownikowa Daszkowska zwróciła się do pani Reny:

— Możebyśmy się złączyli razem z państwem Gozdawami?

Pani Rena przytaknęła i wydelegowała panią Lilkę.

— Pułkownikowa proponuje byśmy razem usiedli — oznajmiła pani Lilka, wdzięcząc się do pułkownika.

Ale pani Gabrynia podziękowała z uprzejmym uśmiechem:

— Wychodzimy już, bo idziemy do kina, a potem na odczyt o taternictwie.

Zaraz po odejściu pani Lilki wstała od stolika.

— Czy państwo będą w sobotę na dancingu w kasynie sztabowym — pytał pułkownik, pomagając pani Gabryni włożyć palto.

— Nie wiemy jeszcze — odpowiedział za żonę Olgierd.

— Niech państwo przyjdą — namawiał gorąco pułkownik.

— Zobaczymy — drażniła się z nim pani Gabrynia.

Przechodząc koło stolika pani Reny, posłała im ukłon, któremu towarzyszył uśmiech trochę drwiący.

* * *

Na dancing nie poszli. Woleli iść do teatru na „Ninon". I biedny pułkownik Daszkowski nadarmo patrzył ciągle uporczywie na drzwi i marszczył czoło.

* * *

Nazajutrz telefonował do pani Gabryni z gorzkiemi wyrzutami za zepsuty wieczór.

— Dostaliśmy bilety do teatru, nie chcieliśmy ich zmarnować.

Prosił ją, by poszła do cukierni.

Odmówiła. — Lepiej niech pan pułkownik pójdzie z nami do kina. Wyświetlają „Braterstwo krwi" z boską Gretą Garbo.

Ucieszył się. — Nie znoszę Grety Garbo, ale przyjdę dla pani.

— — — — — — — —

Siedzieli w loży we trójkę, a obok w sąsiedniej kilku młodych oficerów zabawiało się obserwowaniem wrażenia, jakie wywarło wśród innych wojskowych ukazanie się modnego pułkownika w towarzystwie Olgierda Gozdawy i jego żony.

* * *

Pani Gabrynia wsiadła do tramwaju. Wagon był pusty prawie o tej porze.

Jechał w nim tylko młody urzędnik z biura dyrektora Józef Feliński, dwie robotnice i nauczycielka.

Pan Feliński na widok pani Gabryni zerwał się z siedzenia i zdejmując czapkę witał ją czule, radośnie.

Uśmiechnęła się kącikami warg do wspomnień które niczem łątki przebiegły jej przez mózg.

Józef Feliński był najmłodszym synem licznego potomstwa znanego i szanowanego ziemianina.

Pochodził z tak zwanych „z tych lepszych sfer".

Chowany starannie od dzieciństwa miał wpajane zasady etyki i dobrego wychowania, a jednak, dwa lata temu... pamięta jakby to było dziś.

Był sobie jesienny wieczór, zimny, wietrzny, dżdżysty. Wsiadła do tramwaju. Wówczas jak i teraz w wagonie siedziało zaledwie parę osób, a między nimi pan Feliński i pułkownik Pragniewicz. Jechali również do miasta. Siadła naprzeciw nich.

Dyrektor na jej widok odwrócił głowę i zmarszczył się niechętnie.

Młody człowiek poczerwieniał aż po białka oczów, pokręcił się nerwowo, zezнął w stronę zwierzchnika raz i drugi i nie ukłonił się jej, choć ją znał dobrze.

Strach wobec możliwego niezadowolenia przełożonego zabił w nim nakazy dobrego wychowania.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

20)

Informacja była tak dokładna, iż dwaj ajenci trafili odrazu, nie pytając się już nikogo więcej.

Gdy po zastukaniu i otrzymaniu zachęcającego „proszę“, otworzyli drzwi, znaleźli się w izdebce bardzo biednej, z jednem oknem w dachu umieszczonem, lecz i bardzo schludnej, w której, przy jedynym stole zastali młodą kobietę, zajętą szyciem worków z grubego płótna.

Na widok obcych ludzi powstała zdziwiona, z pewną obawą oczekując, co jej powiedzą. Stary policjant skłonił ją wtedy, by usiadła z powrotem na krześle, drugie podał Lekokowi, sam zaś stanął oparty o ścianę.

Jednym rzutem oka młody policjant ocenił izdebkę i jej mieszkankę.

Była to kobieta niskiego wzrostu, krępa, o ordynarnych dłoniach i twarzy świeżej, ładnej nawet, lecz o rysach bardzo pospolitych. Na jej obliczu rozlewał się wyraz tępej rezygnacji zwierzęcia, z którem się źle obchodzą.

Brunetka, przed paroma jeszcze laty może i była w pewnych sferach za piękność uważana, tą pięknością, którą „djabelską“ nazywamy, obecnie jednak była to przeszłość już tylko. Życie tej kobiety już było poza nią.

Od całej jej postaci promieniowały dwie cechy jednak, które ją czyniły sympatyczną: czystość i uczciwość, tym godniejsze uwagi, iż nie zdołało jej cnót tych odebrać otoczenie, w jakiem żyć jej przyszło.

Synek jej nie był pod żadnym względem do swej matki podobny, był to chłopiec blady, wątły, szczupły bardzo, o oczach błyszczących jakimś niezdrowym, fosforycznym blaskiem, i rudych włosach.

Jeden szczegół wzruszył odrazu obydwóch ajentów i dobrze ich dla żony Polita usposobił. Matka mianowicie miała na sobie nędzną sukienczynę perkalikową, gdy chłopiec był ubrany w grubą wełnę.

— Pani — rozpoczął łagodnie Lekok rozmowę — słyszałaś zapewne o zbrodni, popełnionej w zakładzie twej teściowej?

— Tak, panie, słyszałem o niej — odpowiedziała cicho zapytana, lecz natychmiast dodała żywo — mój mąż jednak nie mógł być do niej zamieszany w najmniejszej choćby mierze, ponieważ został osadzony w więzieniu, najniesprawiedliwiej, muszę dodać, w świecie. To jego przyjaciele winni są wszystkiemu, spili go, a on ma taką słabą głowę! Dość spojrzeć na niego, by powziąć pewność, iż jest to człowiek bardzo dobry.

Mówiąc to rzuciła wzrok rozgorzały na fotografję, wiszącą na ścianie, a przedstawiającą wiernutego niecponia o bezczelnych oczach, małych wąsikach i włosach silnie wypomadowanych. Był to Polit.

Nie mogło być wątpliwości. Ta kobieta do dziś szalała za swym mężem.

Po tem odezwaniu się młodej żony Szupena, w izdebce zapanowało głuche milczenie. W czasie jego trwania, drzwi wejściowe, które pozostały niezamknięte, lekko się uchyliły i ukazała się w nich głowa mężczyzny, która jednak cofnęła się natychmiast z głuchym okrzykiem. W moment potem klucz zaskrzypiał w zamku, a następnie rozległy się szybkie kroki uciekającego po schodach człowieka.

Lekok siedział tyłem do drzwi, nie mógł więc widzieć twarzy owego człowieka, kto on był? — odgadł jednak instynktownie, nie mając co do tego najmniejszych wątpliwości.

— To on! — zawołał — on, wspólnik!

— Tak jest — potwierdził Nalewajka — to był człowiek, który wczoraj spoił mnie w kawiarni.

Jednym skokiem obaj ajenci rzucili się do drzwi, lecz napróżno starali się je otworzyć. Lekok pokrwawił sobie ręce, starając się gołemi rękoma oderwać zamek, nakoniec wyrwał żelazny pręt z łóżka i nim drzwi zaczął podważać. Zamek puścił nakoniec i ajenci w paru skokach znaleźli się na ulicy.

Trudno jednak było szukać wiatru w polu. Po nieznajomym nie było na ulicy śladu. Jakiś dzieciak przed domem stojący powiedział im tylko, że wysoki pan, który pytał się poprzednio o mieszkanie „Cnotliwej Annetki“, przebiegł niedawno bardzo szybko obok niego i znikł na zakręcie ulicy Moulin de Pres.

— Pędźmy za nim — wołał Nalewajka — znajdziemy przecież jakąś dorożkę, to go dogonimy.

Lecz Lekok wstrząsnął jedynie głową z wyrazem zniechęcenia.

— Na nic się to nie zdało — powiedział. — Szczęśliwy traf, iż klucz znajdował się po zewnętrznej stronie drzwi, ocalił jeszcze raz tego przestępcę. Zyskał na tem do dziesięciu minut. Niema więc o czem mówić, nie dogonimy go.

Stary ajent posiniał z gniewu. Tego szczwanego wspólnika uważał za swego osobistego wroga i dałby chętnie całomiesięczną swą pensję, byle tylko mógł go pochwycić za kołnierz.

— Ach, nie brak rozumu temu łotrowi, ani szczęścia — zawołał zirytowany. — Ależ on wprost drwi sobie z nas, aczkolwiek on właśnie jest ową przysłowiową myszą w kocich pazurach. Już trzy razy był w naszych rękach i zawsze uszedł cało!

Młody policjant był niemniej jak Nalewajka podrażniony w swej ambicji, miał jednak więcej zimnej krwi.

— Tak — odpowiedział po namyśle — jest to łotr zręczny, sprytny, odważny, no i ruchliwy. Jeżeli my jesteśmy przy pracy, to i on nie siedzi z założonemi rękami. Ten szatan jest wszędzie. Gdziebym nie rozpoczął atak, wszędzie go zastaję w obronnej pozycji. On to, mój stary, przeszkodził ci w odnalezieniu śladu Gustawa, on urządził wszystko w hotelu Marienburskim, on ułożył plan obrony z mordercą...

— Niechże teraz — ryknął Nalewajka — zacny nasz Jenerał poważy się twierdzić, że my za mrzonkami gonimy!

Pochlebstwo to nie zdołało wyprowadzić Lekoka z zamyślenia.

— Dotychczas ten łotrzyk uprzedzał nas zawsze, przeto nigdzie się nam nie udało. Dopiero tutaj my jesteśmy pierwsi, że jednak on się zjawił tuż za nami, ergo — jest tutaj coś widać do zrobienia. Wracajmy więc do żony Polita.

„Cnotliwa Annetka“ nic oczywiście nie pojmowała z całej awantury, to też czekała na ajentów na schodach, trzymając dziecko za rękę. Gdy ich ujrzała powracających, zawołała drżącym głosem:

— Na miłość boską, panowie! Co się tutaj dzieje? Co to wszystko znaczy?

Lekok nie miał jednak zwyczaju rozmawiać na schodach, gdzie nietylko ściany, ale i liczne drzwi mają uszy. Wprowadził więc Szupenową do mieszkania, następnie zamknął, o ile to uczynić było można, starannie drzwi i dopiero wtedy dał odpowiedź:

— Ścigaliśmy jednego ze wspólników zbrodni w „Pieprzniczce“ dokonanej.

— Wspólnik zbrodni miał być u mnie? A czegóż on mógł chcieć ode mnie?

— Któż to wiedzieć może? Był to zapewne jeden z przyjaciół twego, pani, męża.

— Przyjaciel mego męża... zbrodniarz?... O, panie!

— Cóż by w tem być miało dziwnego? — Czyż sama nie mówiłaś, że mąż twój ma najgorsze znajomości? Jeżeli jednak podejrzenie moje jest dla męża pani obrażające, to możesz je rozproszyć i to sposobem bardzo łatwym, wymieniając nazwiska tych wszystkich znajomych twego męża, którzy zdają ci się być podejrzani.

Na twarzy młodej kobiety wybiło się wahanie. Wiedziała dużo, niewątpliwie, obawiała się jednak, by wyjawienie prawdy nie zaszkodziło przypadkiem mężowi.

— Nie masz się czego lękać, pani. Przecież nikt wiedzieć nie będzie, że nam cośkolwiek powiedziałaś. A zresztą my i bez tego dużo wiemy, nietylko o twym mężu, ale nawet i o tobie, a także i o twej teściowej, o ich niegodnem względem ciebie postępowaniu.

— Mój mąż był zawsze dobry dla mnie, a zresztą — jest to sprawa wyłącznie pomiędzy mną a nim.

— No, a teściowa?

— Matka mego męża może jest nazbyt żywego usposobienia, ale i ona ma dobre serce.

— Więc po jakiego djabła uciekłaś pani od niej i od męża, jeżeli z nimi byłaś tak szczęśliwa.

Twarz „cnotliwej Annetki“ oblała się pąsem.

— Zamieszkałam tutaj z przyczyn najzupełniej innych. Do zakładu mej teściowej przychodziło dużo osób, pijanych często, a w tych warunkach niektórzy z nich posuwali się zbyt daleko. — Powiesz pan, że mam przecież pięści i że mogłam się bronić... Zapewne. To też nie to było ostatecznym powodem mego odejścia. Lecz małemu, widzi pan, ci goście dawali wódki, no i nie krępowali się nim przy mówieniu, co mogło nader ujemnie wpłynąć na charakter dziecka.



W Anglji urządzono humorystyczne biegi dla pań: na starcie ustawiono kubły z wodą. Każda zawodniczka musiała przed startem wyciągnąć z kubła ustami jabłko. Niewątpliwie więcej przyjemności mieli widzowie aniżeli uczestniczki zawodów.

Nagle zamilkła, a jej oczy rozszerzyły się przerażeniem. Zbielała cała, a po chwili zawołała głosem zduszonym:

— Toto!... Ach ty niegodziwy!

Lekok obejrzał się poza siebie i aż się wstrząsnął cały. Synek Szupenowej, nie mający pięciu lat nawet, podpełzł na czworak do jego krzesła i właśnie był zajęty plądrowaniem kieszeni jego paltota.

— Otóż tak... zawołała nieszczęśliwa matka — widzi pan teraz jak jest. To też uciekłam z domu mej teściowej, by uchronić me dziecko od nauk tam bywających gości.

Zasłoniła twarz dłońmi, z jej gardła wydarł się krótki szloch, a następnie dodała głosem zrozpaczonym:

— Ja nie chcę, ażeby mój syn był złodziejem!

Nieszczęśliwa kobieta nie dodała jednak, iż nauczycielem jej syna w praktykowaniu sztuk złodziejskich był jej mąż, Polit.

Obydwaj ajenci odgadli to jednak, to też Lekok zmienił temat.

— Odpowiedz nam pani — powiedział rubasznie — na dwa pytania tylko i tym się zadowolimy. A to pierwsze: czy pomiędzy bywalcami „Pieprzniczki" nie było jednego, imieniem Gustaw?

— Nie, panie, ręczyć mogę za to.

— Doskonale. Ale niejakiego Lacheneura to już pani znałaś z pewnością?

— Tak, tego znałam istotnie.

Młody policjant nie mógł powstrzymać okrzyku radości. Nareszcie natrafił na początek nici, która go już teraz doprowadzi do kłębka.

— Cóż to za człowiek? — zawołał żywo.

— Oh, był to człowiek najzupełniej niepodobny do zwykłych bywalców zakładu mej teściowej. Widziałam go zresztą raz tylko jeden w życiu, lecz rysy jego twarzy zachowały się dobrze w mej pamięci. Przyjechał powozem, w którym siedząc rozmawiał z Politem. Gdy odjechał, mój mąż powiedział do mnie: „Widziałaś tego bubka?... dzięki niemu mieć będziemy majątek." Pan ten miał minę bardzo solidnego i poważnego człowieka.

— Dosyć — przerwał Lekok — teraz chodzi o to, ażebyś zeznanie to, moja dobra pani, powtórzyć zechciała przed sędzią śledczym. Jeżeli chcesz, to możesz wziąć ze sobą dziecko. Pojedziemy powozem, lecz musisz się bardzo śpieszyć.

Młoda kobieta nie oponowała, zgodziła się chętnie, nie widząc dla swego męża nic groźnego w fakcie, iż miał on tak wysokie znajomości.

XXVI.

Pan Segmuller należał do tych wyjątkowych urzędników, którzy pracują z zamiłowaniem, poświęcając swemu zawodowi całe swe jestestwo, całą duszę, rozum i energję, wszystkie swoje siły.

Zbrodnia popełniona w szynkowni wdowy Szupe zawładnęła całym jego umysłem, to też oddał się jej duszą i ciałem.

Znalazł w niej wszystko, co istotnie wzbudzić może zainteresowanie: wielkość zbrodni, jej okoliczności tajemnicze, wreszcie sam morderca — schwytany, lecz nieznany zupełnie, niewiadomy. Zbrodnia przytem nie była pozbawiona cech romantycznych, jak wskazywała na to obecność dwóch kobiet na miejscu zbrodni, kobiet z wyższego towarzystwa przytem, o ile się zdawało.

Sprawa cała była ciemna zupełnie ponadto, lecz trudności pana Segmullera podniecały tylko, zaciętość pobudzały. Był pewien, że zwycięży, mając zwłaszcza takiego pomocnika, jakim był Lekok.

To też nazajutrz po badaniu Maja bardzo wczesnym rankiem znalazł się już w biurze, z niecierpliwością wypytując, czy ajent Lekok nie meldował się u niego, lub nie nadesłał jakiegoś listu.

Gdy otrzymał przeczącą odpowiedź, na jego twarzy odmalował się gniew.

— Czy kto słyszał coś podobnego — mruczał do siebie — ja tu siedzę jak na rozżarzonych węglach, a ten pan ajent każe czekać na siebie!

— Niema co — rzekł wreszcie do Gogela — pan ajent widocznie wesoło spędzał noc karnawałową, my więc sami weźmy się do pracy. I co byś powiedział, gdybym tak zawezwał do badania owego syna wdowy Szupe, rzetelnego podobno złodziejaszka?...

Znudzony sekretarz nie miał nic przeciwko temu, oczywiście, to też nie upłynęło pół godziny nawet, po wydaniu odpowiedniego rozkazu, jak przed sędzią stanął nieznany nam jeszcze Hipolit Szupe.

Był to, od stóp, obutych w więzienne pantofle, do ceratowej czapki, oryginał portretu, w który „cnotliwa Annetka" wlepiała swe rozkochane spojrzenia.

Tylko, że portret był bardzo pochlebiony.

Fotografja nie była zdolna bowiem pochwycić tego wyrazu podłości i tego uśmiechu cynicznego, osobnika wyzbytego ze wszystkich lepszych uczuć ludzkich, najwidoczniej.

Był to typ urodzonego zbrodniarza i nikczemnika.

Po zwykłych zapytaniach i odpowiedziach, że skazany ma lat trzydzieści i że urodził się w Paryżu, sędzia widząc zuchwałą, a jednocześnie pretensjonalną postawę złoczyńcy, chciał go, przed przystąpieniem do głównego przedmiotu, zbić nieco z tropu. Przypomniał więc ostro więźniowi jego położenie, że wyrok na niego jeszcze nie zapadł i że zależeć on będzie od jego odpowiedzi.

Polit słuchał tej rozmowy od niechcenia, nie ukrywając nawet ironji.

Był pewien swego, wiedział, iż czeka go maksymalnie sześć miesięcy więzienia, na więcej nie mógł być skazany. Czy posiedzi miesiąc więcej, czy miesiąc mniej, było mu to najzupełniej już obojętne.

Sędzia spostrzegł ten cynizm, zuchwalstwo i ironję w oczach łotra, więc zamilkł zniechęcony.

— Sprawiedliwość — powiedział po chwili milczenia — oczekuje od ciebie iż udzielisz jej pewnych szczegółów, co do osób, bywających w szynkowni twej matki. Powiedz mi więc naprzód, czy był ci znany osobnik, imieniem Gustaw?

— Nie, panie.

— A niejakiego Lacheneura czy również nie przypominasz sobie?

— Jak?... Lacheneura?... Pierwszy raz w życiu nazwisko to słyszę.

— Bądź ostrożny. Policja wie bardzo wiele rzeczy.

Łotr ani drgnął.

— Cóż za interes bym miał, ażeby kłamać? — odpowiedział w końcu zuchwale.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich „cnotliwa Annetka", która na widok męża krzyknęła radośnie, lecz ten przeszył ją straszliwem spojrzeniem i w te odezwał się, pełne groźby, słowa:

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

„Dobre rady p. Zofji"

WIATR

Powiał wiatr po łące — wonny i przesłodki —
Śpiewa kwiatom, drzewom melodyjne zwrotki
Strząsa z akacyj białe wonne kwiecie —
I figluje... jak to ma w zwyczaju przecie...

To całuje maki zawsze gorejące,
To szumi i szepce ziołom słów tysiące,
To znów zegnie nagle jakiś badyl wiotki,
Lub przycichnie, tuląc się gdzieś — do stokrotki.

Potem gna obłoki po całutkiem niebie,
A za chwilę — kwiaty znów lekko kolebie...
Skoro je pomuska i trochę popieści,
Znów pędzi—lekkoduch—dalej, w świat po wieści.

Kilka chwil spokojnie i cicho uchodzi —
I wiatr już powraca — by kwiaty znów chłodzić...

Danuta Wyrybkowska.

MIŁY LIST

„Czarny Olek". Tak, ma Pan rację, dawno już nie otrzymałam od Pana listu... Jednak nareszcie, po kilku miesiącach, dostaję — szalenie miły i sympatyczny. Chociaż bez aprobaty Pana, oddaję go do druku, chcąc się podzielić jego treścią z wszystkimi Sympatykami. Chyba nie pogniewa się Pan o to i częściej napisze?

„Dzieńdobry Kochana Pani Zosieńko.

Oj dawno, bo dawno do Pani nie pisałem. A bo też zawsze tak jakoś się składało; albo brak czasu, albo „dziki nastrój", albo też jedno i drugie, aż wreszcze postanowiłem przełamać wszystkie przeszkody i wyszczególnić taką epistołę, o jakiej nawet Zawalidroga nigdy nie marzył. Ba, łatwo postanowić, ale trochę trudniej to postanowienie w czyn wprowadzić, bo to niby to czerwcowe słoneczko tak mózgownicę rozmiękcza, że ani rusz coś mądrego wykombinować, a tu i wstyd, bo takie duże chłopisko, do szkoły nawet chodził, w pląsach był, a głupstwa pisze. Całe szczęście, że „Pani Zocha", to jest ta nasza kochana Pani Zosieńka, kochana, dobra i wyrozumiała na wybryki swej licznej „dziatwy." Ale też tej „dziatwy" nazbierało się w „Krainie", że ho, ho! Początkowo próbowałem zapisywać sobie wszystkich po kolei, ale bardzo prędko zabrakło miejsca w notesie i zmuszony byłem zrezygnować z prowadzenia statystyki. Zdumiewam się poprostu i zachodzę do głowy z wielkiem pytaniem, jak Pani może sobie dać radę? Przecież to jest strasznie męczące przejrzeć dziennie kilkadziesiąt listów i odpowiedzieć na nie. Ja przeglądam zaledwie do dwudziestu handlowych, odpowiadam szablonowo, a już mnie czasem djabli biorą, a cóż dopiero na listy, w których prócz narzekań na los, prócz próśb o radę, nic nie ma. Nie, to trzeba być naprawdę takim aniołem, jakim jest Pani. Chciałbym kiedyś spotkać Panią i serdecznie podziękować za nas wszystkich, za tyle poświęcenia dla ludzi zupełnie obcych.

Narazie streszczę się tylko w dwóch słowach „Bóg zapłać."

Pozdrawiam „Wujaszka" i „Zawalidrogę". Chciałbym kiedy z nim i jego „szwagrem" wypróżnić kilka butelek, bo niby alkohol trzeba tępić.

Z poważaniem

„Czarny Olek."

P. S. A teraz krótki apel: „Hallo! Pomiarowcy, z Torunia rocznik 09! Cześć! Spotkamy się 8 lipca."

„Białej Orchidei" serdecznie dziękuję za pozdrowienia, przesyłam wzajemne. Może zdecyduje się do mnie napisać? Nie zawiodę. Dla „Chochlika", „Hanki Cz." i „Dzinki" — „siarczyste buziaki."

Na zakończenie jeszcze kilka słów o tem mojem „poświęceniu dla ludzi zupełnie obcych..." Otóż dlatego, że Sympatycy „Krainy" nigdy nie wydawali mi się ludźmi „obcymi" lecz drogimi i bliskimi, praca moja nie jest trudem lecz nadzwyczaj miłą czynnością — sprawia mi dużo satysfakcji i zadowolenia.

A teraz dziękuję Panu bardzo za długi, pełen werwy i humoru liścik, oraz przesyłam moc serdecznych pozdrowień.

WYSTARCZY...

„Orzeł Śląski." Nieraz zastanawiałam się nad tem, dlaczego Pan milczy i nie przesyła do Teczki Wujka Janusza wierszy, które ogólnie się podobały. No i wreszcie zagadka się wyświetliła: wyjechał Pan i zapewnie tak był zaabsorbowany zmianą środowiska zamieszkania, że nie mógł się nawet zdobyć na dłuższy list i skomponowanie jakichś wierszyków. Mniejsze jednak z tem. Wystarczy, że nie zapomniał Pan o „Krainie" i nawiązał z nią na nowo przerwany kontakt.

Bardzo jestem zadowolona, że korespondencja z wymienioną w liście osobą, tyle sprawia Panu zadowolenia; chciałby jednak Pan jeszcze korespondować z „Białą Uajali"... Odezwij się więc, Droga Sympatyczko!

Za pozdrowienia i życzenia dziękuję bardzo, również w imieniu Wujka Janusza, który twierdzi, że tak łagodnej oceny, jaką On wydaje o wierszach, nie spotyka się nigdzie, a nawet czasem robi sobie wyrzuty, że jest pod tym względem zbyt pobłażliwy. Niech Pan porówna zresztą opinję utworów w innych czasopismach, a przekona się, że w powyższych słowach jest dużo racji.

NA FALACH ŻYCIA...

Tak cicho, sennie na całej przestrzeni,
Wszystko wokoło powoli martwieje
I w dużo sercach zagasły nadzieje,
A ziemia pełna dziwnie smutnych cieni.

Tak dużo, dużo jest smutku na świecie,
Bo taka sroga płynie życia fala...
Dziś wszystkie serca cierpienie przepala
I olbrzym, siłacz — żali się jak dziecię.

Cóż, że przejdziemy przez piekło cierpienia?
Przejdziemy cicho — w odrętwieniu głuchem,
Każdy z nas będzie jakimś dobrym duchem,
— Bo tyle ludzkich serc jest dziś z kamienia.

„Jadźka z Kujaw".

APEL Z NAD PROSNY

„Chłop" i *„Poeta"* przesyłają serdeczne pozdrowienia dla „Kuszącej Różyczki" „Steni z Pomorza", „Różyczki z Lniana", „Dzikiej Orchidei", „Rodowitej Kaszubki", „Wiejskiego Motylka", „Daneczki z Pomorza" i „Błękitnej Chmurki".

Jeżeli któraś z wyżej wymienionych Sympatyczek skreśli kilka słów do „Chłopa" i „Poety", dwóch mieszkańców miasteczka, położonego nad Prosną, otrzyma zaraz odpowiedź.

Ponieważ przyjęcie do „Krainy" odbywa się zwykle z formalnością przedstawienia nowego Sympatyka, podaję króciutkie rysopisy „Chłopa" i „Poety".

A więc „Chłop" to 28-letni brunet o wesołem usposobieniu, kochający piękno, „niebrzydki" i lubiany przez otoczenie. „Poeta" zaś, to 25-letni ciemny blondyn, smutnego usposobienia, głęboko myślący, marzyciel, samotnik, kochający śpiew, muzykę i piękno przyrody.

Zalet dużo, sądzę więc, że wyżej wymienione Sympatyczki, nie będą się długo namyślały nad napisaniem liścików do dwóch przyjaciół?

CICHO!...

W. Panu Z. Brewińskiemu, porucznikowi 65 Pułku Piechoty, — poświęcam.

Cicho — gdy się oko łzawi,
Cicho — gdy ból serce trawi,
Cicho — gdy cierpienie męczy,
Cicho — kiedy rozpacz dręczy...

Cicho — gdy tęsknota pali,
Cicho — gdy się dusza żali,
Cicho — jeśli smutek gniecie,
Cicho — chociaż źle ci w świecie.

Cicho — aż nadejdzie radość,
Cicho — ciesz się wtedy zadość,
Cicho — kochaj ludzi — Boga,
Cicho — oto święta droga.

Grudziądz. *M. Choszcz.*

BĄDŹ DOBRYM DLA MNIE

Józkowi

Bądź dobrym dla mnie, bo dobroć jedynie
coś znaczy w świecie i ludzi szlifuje;
dobroć im szczęście, pogodę gotuje
i przy niej łatwiej zła chwila przeminie.

Bądź dobrym dla mnie będę Cię kochała
zawsze i miłość z szacunkiem połączę
bo któż potrafi gniewać się na słońce,
na matkę, która wszystkoby nam dała?

Bądź dobrym dla mnie, pójdziemy przez życie
zawsze szczęśliwi z weselem na twarzy,
z miłością, co się wiecznie w sercach żarzy,
zawsze wiosenną i nową w rozkwicie!

Gniezno, w czerwcu br.

Helena, Marja Kraśna.

SERDECZNY LIŚCIK

„Turkusik." Trudno, „głazem" nie jestem, więc rozczuliły mnie niemożliwie, słowa Twojego liściku. Poprostu niekiedy wierzyć mi się nie chce, że zasłużyłam sobie na takie względy u mych Sympatyków. Nie mogę się oprzeć pokusie i oddaję ten szalenie miły liścik „Turkusika" do druku:

„Panno Zosieńko! Bardzo mi miło, że zostałam przyjętą w grono twych dziatek; czuję się ogromnie uszczęśliwioną. Panno Zosiuniu! Tak mi teraz błogo i dobrze, że już nie czuję się tak bardzo nieszczęśliwą, jak dotąd, chociaż żadna zmiana w mem życiu nie zaszła, chociaż jeszcze nikt mi o miłości i szczęściu nie mówił, lecz tak czuję się dobrze, że nie wiem — czy Tobie p. Zosieńko to mam do zawdzięczenia, czy też słonecznemu latu, temu zwiastunowi i promykowi słodyczy i szczęścia.

Panno Zosieńko! Ciebie można porównać do pszczółki pracowitej, bo tak jak ona słodycz do ula znosi, tak Ty, moja milusia Zosiuniu — rozsiewasz ją, Ty dodajesz każdemu otuchy i wlewasz do serca tyle słodyczy, że goi wszystkie rany, że naprawdę trzeba Ciebie, za Twą słodycz pokochać, tak samo jak i za Twą dobroć. Jedynem mojem marzeniem jest ujrzeć Twoją dobrą twarzyczkę i wyściskać Cię serdecznie.

Milusieńka Zosieńko! wybacz mój ton poufały, ale — „kocham Cię" — a tego mi chyba nie zabronisz, prawda? Chciałabym, moja Droga, poznać za Twoją protekcją kogoś miłego i dobrego. Przesyłam milusińskie pozdrowienia dla „Białej Uajali", „Smętka" i „Herszta". Może ktoś do mnie napisze z wyżej wymienionych osób?"

PROŚBA „SŁODKIEJ PSYCHE"

„Słodka Psyche." Nie wiem, jak Ci podziękować, Kochanie, za piękny, pełen nastroju liścik. Wnioskuję z niego, że Autorka posiada nietylko ładny styl pisania i „słodki" pseudonim, ale bardzo dobre i czułe na piękno przyrody i poezji serduszko. Chyba tak jest, jak przypuszczam, prawda?

Pozdrowienia załączone przez Ciebie dla wszystkich Siostrzyczek i Braciszków z prośbą o pamięć — przekazuję, dziękuję również w Twojem imieniu, za pamięć: „Białej Uajali", „Fali Noteci" i „Kwaśnemu Erosowi".

Część z listu, która zawiera prośbę o wierszyk, zamieszczam dosłownie, gdyż w ten sposób życzenie Twoje, Przemiła Przyjaciółeczko, zostanie pomyślnie załatwione:

„Bardzo kocham wiersze. Poprostu zazdroszczę ich autorom, że posiadają talent i żyłkę literacką, że potrafią tworzyć. Zazdroszczę im, ale trudno, każdy w innym kierunku ma swe zdolności rozwinięte. Kocham szalenie wierszyki smętne, pełne bólu, tęsknoty czy wesela. Dlatego nie zaprzeczę, że kocham również ich autorów jak: „Białą Uajali", „Kalinę", „Azę" D. Wyrybkowską, „Białego Murzyna" M. Choszcza, M. Wawrzyńczakównę, „Ord-Oma", „Jadźkę z Kujaw", „Fakira", „Puszczyka" i wszystkich innych. Mam małą prośbę: Pragnę i bardzo grzecznie proszę „Kogoś", ażeby napisał i poświęcił dla mnie chociaż tylko malusieńki, pełen smutku i czaru wierszyk. Temu kto się zdobędzie na ten piękny dar, zostanę wdzięczną i nigdy Mu tego nie zapomnę, a wierszyk pokocham całem serduszkiem. Oto moja prośba."

SIANOKOSY

W szarej, letniej godzinie świtania,
Kiedy na łąkach lśnią jeszcze rosy,
Kosiarzy rząd się zdała wyłania,
W swych szorstkich dłoniach dzierżąc storc kosy.

Za chwilę słońce zaświeci jasno,
Zabrzęczą kosy, zalśnią srebrzyście
I trawy z barwą kwiatów tak krasną,
Legną zgaszone, jak zwiędłe liście.

A rząd kosiarzy, wsłuchany w granie
Koników polnych, owadów kroci,
W swej pracy żmudnej prędzej nie stanie,
Aż cichy zachód się nie rozłoci.

M. Zemmlerówna.

SŁOWA POCIECHY

„Tofi." Istotnie! położenie Pani jest nie do pozazdroszczenia. Pomimo szczerego współczucia i życzliwości, prócz przyjacielskiej rady, nie będę mogła Pani, niestety, nic innego dać. Może jednak Pani spróbuje dać do „Moich Powieści" lub „Mojej Przyjaciółki" anons o posadę? Kosztuje tylko 50 gr, a jak zdążyłam zauważyć, w ciągu mej pracy, nieomal zawsze na każde ogłoszenie wpływa oferta, czasem nawet po kilka. Jeżeliby, więc Pani nie sprawiło różnicy, pracować poza domem, najlepiej będzie, gdy zdecyduje się Pani dać ogłoszenia do gazet. O ile Pani skorzystą z mych propozycji i poda anons, napisze mi o jego skutku, dobrze?

A teraz zachęcam Panią do wytrwania i uzbrojenia się w cierpliwość. Zawsze źle być nie może! Zobaczy Pani, że przyjdzie dzień, w którym miną troski i pierzchnie tęsknota za ukochaną osobą. Pozostanie tylko pamięć smutnego doświadczenia, które zostało mężnie zniesione i wielkie głębokie zadowolenie. Jak piękne są słowa poezji, wlewające w smutku otuchę i nadzieję. Posłuchaj co mówi pewien nieznany mi bliżej poeta:

„Ucisz się, smutne serce, przestań narzekać;
Za chmurami wciąż słońce jaśnieje;
Twój los jest losem wszystkich ludzi,
W każdem życiu są burze i słoty,
Są dni smutne, mgliste i ponure.

Prawda, że piękne myśli? Przytoczę Ci jeszcze prześliczny urywek z książki „Naśladowanie Chrystusa": „Po zimie nadchodzi wiosna, po nocy dzień, a po burzy wielkiej — wielka cisza. Choć droga twoja zdaje się trwać w ciemnościach, pamiętaj, że najdotkliwsze cierpienia łagodzi czas. Przygnębienie może trwać całą noc, lecz ranek pociechę przyniesie..."

A teraz żegnaj, Droga „Tofi" i pisz do mnie w każdej chwili zwątpienia.

POMIMO KANIKUŁY

„Czarne Domino z Torunia." Wiadomość, że „Moje Powieści" podobały się Panu i pragnie je Pan abonować oraz rozpowszechniać, ucieszyła mnie bardzo.

Do „Krainy" przyjmuję Pana z miłą chęcią i przedstawiam „Rodzince" nowego Sympatyka, wysokiego, przystojnego blondyna o niebieskich oczach, muzykalnego, kochającego mundur, zawsze poważnego i trochę romantyka, który pragnie nawiązać korespondencję z bratnią duszą, o podobnych zaletach.

Kończąc odpowiedź, życzę Panu serdecznie, otrzymania jak największej ilości interesujących liścików, pomimo kanikuły, jaka ogarnęła cały świat.

KOŁYSZ MIĘ

O morze!
Na grzywach twych srebrnych fal,
Chcę płynąć w tajemną dal,
Gdzie wód bezmiary się twoich kołyszą,
Gdzie uszy me gwaru ludzkiego nie słyszą,
Tam nieś mię, o morze kochane, jedyne,
Tak cicho i sennie kołysz mię w dal,
Niech spokój wieczysty na duszę mą spłynie,
Wśród twoich srebrnych o morze fal...
Śpiewaj odwieczną piosnkę, Ty, uszom moim,
Odkryj w niej głębin twych tajemnicę,
A wtedy zapomnę o bólu swoim
I może miną tęsknoty katusze.
Kołysz mię morze, do snu wiecznego,
I weź mię do swego grobu bezdennego,
Bo tyś mi zostało jedyne i wieczne —
Dlatego kocham tak cię niezmiernie.

Czarnylas. *Ruliński Kazimierz.*

KAŻDA CZYTELNICZKA

„Moich Powieści" powinna być prenumeratorką Ilustrowanego Dwutygodnika kobiecego p. t.

„MOJA PRZYJACIÓŁKA",

który kosztuje

TYLKO 80 GROSZY MIESIĘCZNIE

„Moją Przyjaciółkę", w której „Pani Zofja" prowadzi popularny dział „My — kobiety, — między sobą" — czyta każda kulturalna, praktyczna i oszczędna Pani. P.K.O. 209.062. Wystarczy adresować:

„MOJA PRZYJACIÓŁKA" ŻNIN.

JEST CZASEM CHWILA...

Jest czasem chwila, — że serce zapłacze,
Gdy się zatopi w tajemnic zawiłość,
Lecz wtedy wszystko zapomnę, przebaczę,
I wierzę w wieczną nieskończoną miłość.

Jest czasem chwila, — że mój uśmiech kłamie
I nikt nie zgadnie, co pod nim ukrywam.
Każdy go bierze za radości znamię
I każdy wierzy, że jestem szczęśliwa.

Jest czasem chwila — że dusza się żali;
Chciałaby drugą mieć przy sobie duszę,
W której tak samo ognisko się pali...
I która znosi z pogardą katusze...

Jest czasem chwila, — w której krzyk radości
W sercu się w jedno wielkie szczęście rodzi.
W duszy coś szepce mi baśń o miłości,
A z niej się jedna cudna pieśń wywodzi...

„Jadźka z Kujaw."

UWAGA!

P. K. R. pyta: „Czy „Samotna Klaruta", „Pomorzanka z nad Wisły" i „Wesoła Andziulka" to trzy koleżanki z małego miasteczka nad Wisłą N. i czy imiona ich brzmią Klarcia, Ira i Anna? „Smutna Klaruta" przebywa prawdopodobnie na wsi pod nazwą O? Jeżeli moje przypuszczenia są trafne zasyłam im jak najmilsze pozdrowienia. Możeby która z nich chciała skreślić do mnie liścik? O adres nie trudno!".

COŚ MIĘDZY NAMI STAJE

P. J. M. poświęcam.

Coś między nami staje,
Jakiś ponury, cień,
Niszcząc nam radość w sercach
I każdy weselszy dzień.
Coś między nami staje
Chichocze szyderczy głos,
A może to tylko jedynie
Nasz los? — Przeklęty, los!

Kazimiera Purolówna

Kiersznowizna, w czerwcu 1935 r.

WYSŁAŁAM

„Łobuzerska Kozaczka." Pytasz się, Kochanie, czy lubię się bawić? Oczywiście! Co do drugich pytań, zostanę tajemniczą, gdyż chcąc na nie odpowiedzieć, musiałabym zdradzić swoje incognito.

Załączony list wysłałam. Za przesłane życzenia dziękuję Pani serdecznie w imieniu Wujka Janusza i swojem.

Kiedy Pani znowu napisze do mnie, tak szczerze i miło, jak ostatnim razem?

Teczka Wujka Janusza

ZMIANA PSEUDONIMU?

„Biała Uajali." Droga Pani! Mojej życzliwości i sympatji możesz być zawsze pewną. Napewno nie zapomnę o Pani w cierpieniu i nieszczęściu, mogłoby to się stać dopiero wtedy, gdybym się dowiedział i przekonał, że na uczucia te Pani nie zasługuje. Żywię jednak nadzieję, że podobna metamorfoza w naszej przyjaźni nigdy nie nastąpi.

Za przesłane ostatnio wiersze — dziękuję. Do druku pójdzie tylko część, gdyż niektóre utwory posiadają nieprawidłowy rytm. Uwaga ta dotyczy także wiersza: „Walka duszy." W następnych utworach będzie się Pani starała uniknąć podobnych niedociągnięć, prawda?

A teraz dziękuję w imieniu Pani „siostrzyczce" „Wilczej Jagodzie" za wierszyk i przesyłam: „Icie", „Lili Wenedzie", „Złoteńku", „Maleńkiej Dzidzi", „Iste Wenus", „Ord-Omowi", „Turowi", „Hrabiemu Monte Christo", „Eudymjonowi", „Wiecznemu Tułaczowi", „Fata morganie" pozdrowienia i zapytuję dlaczego „Dejot" nie pisze.

Na zakończenie zostawiłem sprawę pseudonimu. A więc bardzo byłbym zadowolony, gdyby Pani nie sprzeniewierzała się swemu staremu pseudonimowi. „Biała Uajali" brzmi bardzo miło i subtelnie, no i pod tą nazwą wszyscy Panią znamy i bardzo kochamy. Nie możemy więc stracić „Białej Uajali". Pierwszy stawiam „veto przeciw zmianie". Kto ze mną?

PIOSENKA

Rozkołysane zboża i szumny las,
Powitam w cichy, wieczorny czas,
Usiądę cicho pod brzozą płaczącą,
Zanucę cudną piosnkę gorącą.

Popłynie echem, wśród zboża i traw,
W ten cichy upojny wieczorny czas,
Popłynie lasem, drzemiącym ugorem,
I zginie w oddali, tam gdzieś za borem.

Melodja smutna, płacząca, rzewliwa,
To szczęściem płonąca, to znów tęskliwa,
Popłynie gdzieś w dali, w wieczornej ciszy,
Gdzie serce ludzkie gwaru nie słyszy.

„Hord."

POPRAWA

„Hord." Bardzo jestem zadowolony, że skorzystał Pan z moich wskazówek i przyrzekł poprawę. Wiersze Pana są bardzo miłe, brak w nich tylko dobrego rytmu i czasami należytego stylu. Nie można przecież stosować takich zdań, jak:

„Me serce stargane sromotnie
Wciąż szlocha nad marzeń tren..."

To paradoks! Zwłaszcza, że reszta zdań utworu, z którego wyjąłem powyższą zwrotkę, stanowi treść nietylko ładną i dobrą, ale cudną. Może więc Pan wiersz „Me szczęście" poprawi i prześle mi w następnej przesyłce. Nie wiem, czy moja propozycja przypadnie Panu do gustu?

Życzę Panu zdobycia jak najwięcej przyjemności i zadowolenia na łonie natury i czekam na wiadomości od mego nowego Przyjaciela i Sympatyka.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Niedobrze proszę Rodaków jest z namy skoro jeżeli za uszanowanie doktorskiego przepisu policyjnego do mamra się można dostać.

A taki właśnie poniekąd wypadek miałem parę dni temu nazad w rodzinie.

Stoję sobie przy bufecie „Pod Minogą". Rozmawiam z gospodarzem, ale słyszę, że ktoś za mną kaszle. Oglądam się i patrzę, że to szwagier. Nos czerwony, dreszcze niem trzęsą i tak się kaszlem zanosi, że słuchać przykro.

— Co ci jest Teoś? — pytam go się.

— Grypy dostałem — mówi szwagier.

Niema co, myśle sobie, trzeba człowieka ratować. Zawsze rodzina. Kazałem mu dać setkie wódki z pieprzem, potem drugą, cebulą zakąsić. Ale nic nie pomaga, zanosi się jeszcze więcej. Dusi się, nogami wierzga, o mały figiel bufet nie przewrócił.

W taki sposób ja widzę, że to nie żadna grypa tylko koklusz i mówię:

— To na nic, ten kaszel cię zamęczy. Na koklusz niema inszej rady, tylko trzeba powietrze zmienić. Chodź Teoś nad rzekę „Pod retmana." Wiatr ci dobrze zrobi.

Szwagier się zgodził i już chce wychodzić, ale ja mówię: niema tak dobrze, szwagier nie szwagier, sanitarny kodeks przedewszystkiem.

Czytałem w kurjerze, że każden chory na koklusz obowiązkowo czerwone wstążeczkie na lewem ręku musi posiadać, żeby go się ludzie wystrzegali, bo inaczej epidemja się zrobi.

Raj kobiet

„Biały sport w kolorach"



Tenis zyskuje z roku na rok coraz to więcej zwolenników. Korty ożywiają się niemal ze świtem. Dotychczas zapalone miłośniczki tenisu ukazywały się na kortach tylko w białym stroju. Dlatego tenis nosi nazwę „białego sportu". Obecnie moda nie licząc się z tą nazwą, wprowadziła dla pań różne kolory, a więc: żółty, błękitny, różowy w białe paski. Suknie i bluzki robi się przeważnie z lnu, względnie z jedwabiu. Dla swobody ruchu wdziewa się na korty krótkie, obszerne spodeńki. Modnemi są także sukienki, rozcięte z boku. W porze chłodnej wdziewa się kolorowe pulowery. Strój tenisistki uzupełnia płaszcz z miękkiej, cieńkiej wełny. Ilustracja nasza przedstawia trzy typy obecnie obowiązującej mody tenisowej.

Szwagier narazie nie chciał się zgodzić, że na warjata będzie wyglądał, ale ja mu zaznaczyłem, że musi przepis szanować, bo inaczei z niem nie pójdę.

Pożyczyłem ma się rozumieć czerwone wstążeczkie od gospodyni. W kukardę mu ją na rękawie zawiązałem i poślismy „Pod retmana." Wypiliśmy butelkie, a jemu nic nie lepiej. Zanosi się, że przykro słuchać. Co tu robić? — myśle sobie. Niema innej rady tylko znowuż powietrze zmienić. Wsiedliśmy w derożkie i jadziemy do innej restauracji na gęsinę z czostkiem, na koklusz niema jak czosnek.

I faktycznie zjadł szwagier pół gęsi i odrazu ma kaszel mniejszy. Podziękowaliśmy w restauracji za lekarstwo, uregulowałem rachunek i wychodziem na ulicę.

Akurat przechodzili tamtędy komuniści z pochodem. Nadleciała policja, starozakonny pochód prysnął, a nas za szyję i do młyna, że szwagier wywrotowiec jest bo czerwone kukardę ma na ręku.

Tłomaczę władzy, że to nię żaden wywrotowiec, tylko chory na koklusz ubrany podług przepisu. Ale nic nie pomogło, do rana nas w „cieniu" trzymali, aż się wszystko wyjaśniło.

Tak nie można panowie. O wiele za poszanowanie paragrafu spokojny obywatel za mordę z ulicy będzie zdejmowany, to do czego doidziemy, się pytam?!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Jedna z Czytelniczek" — *Strzałkowo.* Z powodu remontu maszyn poprzedni numer jak i dzisiejszy wyszły z opóźnieniem. Następne numery dostarczane będą już regularnie

Jak się powinny odżywiać rodziny robotnicze?

Obniżenie zarobków w latach kryzysu zmusiło rodziny robotnicze do znacznego okrojenia budżetów spożywczych. W związku z tem Sekcja Higjeny Ligi Narodów powołała specjalną komisję, która miała zająć się opracowaniem ogólnych zasad zdrowego i taniego odżywiania się. Zasady ujęto w popularną formę dekalogu:

1. Pożywienie, w którem przeważa chleb, kartofle i margaryna lub tłuszcz wieprzowy, należy uzupełniać mlekiem i serem oraz świeżemi jarzynami ażeby uzupełnić brakującą ilość pełnowartościowego białka, wapnia i witamin.

2. W codziennem pożywieniu nie powinno brakować grubomielonego zboża, czy to w postaci chleba razowego, czy też potraw z mąki razowej.

3. Dorastające dzieci, matki w ciąży oraz karmiące powinny otrzymywać większą rację mleka, conajmniej litr dziennie.

4. Mleko zbierane jest tańsze i jako takie zawiera więcej części pożywnych w stosunku do ceny. Brak zaś witaminy przeciwkrzywiczej i witaminy wzrostu można uzupełnić w inny sposób.

5. Sery są najtańszem źródłem białka zwierzęcego, powinny być przeto obficie reprezentowane w pożywieniu.

6. Jeśli ktoś nie kupuje masła, lub używa je w małej ilości, powinien otrzymywać w pożywieniu więcej zielonych jarzyn i marchwi.

7. Zamiast zwyczajnej margaryny lub tłuszczu wieprzowego powinno się używać margaryny, zawierającej witaminy. (U nas, niestety, nie wytwarza się takiej margaryny).

8. Tłuste ryby, szczególnie śledzie, są taniem źródłem wartościowych składników pożywienia.

8. Mięśnie są mniej wartościowym środkiem odżywczym, niż gruczoły (wątroba, nerki, śledziona) i krew. Lepiej jest więc kupować kiszki wątrobiane i krwawe, niż mięso, bo są tańsze i pożywniejsze.

10. Niemowlęta i małe dzieci powinny otrzymywać, oprócz zwyczajnego pożywienia, tran. Bez tego nie można mieć pewności, że się je uchroni przez krzywicą.

ŚWIAT I ŻYCIE

Niewyszukane rymy

Nowy tomik poezyj Jarosława Iwaszkiewicza p. t. „Lato" ,stał się wielkiem wydarzeniem w bieżącej liryce polskiej. Podczas gdy prozę charakteryzuje prostota, pozbawiona chorobliwei stylizacji i dziwacznych metafor, poezja nadal hołduje wymyślnej sztukaterji, wymuszonym stylizacjom i upiększeniom. Panuje w niej niepodzielnie tak niesamowite krętactwo słowa, iż dział ten twórczości artystycznej pozostaje nadal niedostępny dla szerokich mas, a „pod słomiane strzechy" ma wogóle wstęp wzbroniony.

I oto nowy tomik poezyi Iwaszkiewicza stał się wyłomem w dotychczasowej twórczości poetyckiej zarówno awangardzistów, jak i skamandrytów, a także i obozu poezji „steinbergowskiej."

Wiersze Iwaszkiewicza wykazały, że nietylko finezja słowa, nietylko jego wymyślność i splatanie w potworną nieraz sieć wiersza stanowi istotną wartość nowej poezji, nowej twórczości lirycznej.

Prostota pełna wdzięku, pozbawiona sztuczek i tricków, szminki i błyskotek, jest tak samo w poezji ważną i konieczną, jak i w prozie.

Rymy „Lata" zbiorku Iwaszkiewicza tchną taką prostotą, taką „łatwością rymów, tak żywo przypominają Kasprowiczowską „Księgę Ubogich", że ukazanie się ich na tle obecnej gmatwaniny i fantastycznych splotów wiersza awangardowego jest wydarzeniem niezwykłem.

Głosy ptaków już opadły
Niby zwiędłe liście z drzew,
Zaraz gwiazdy wstrząsną lasem,
I w szeleście zaczną śpiew.
Niebo dyszy, drzewa szemrzą,
Rói opadłych pereł lśni,
Całą noc szamotać będą,
Strzałą co w mem sercu tkwi.

Wiersze proste, łatwe, niewyszukane. Wiersze śliczne! Aż śmiałe swojem ubóstwem i skromnością.

Czytamy dalej:

Woda zielona i głęboka
Powoli zalewa mi usta,
Świat ogromny, świat szeroki,
Posoką w usta mi chlusta.
Przecieka mi przez słabe dłonie,
Ucieka — ach, niedotykalny,
I ręką, która za nim goni,
Zastyga w gest napół błagalny.
O ziemio — wodo! Wszystko inne
Wydaje się nierzeczywiste —
I przez zielone tafle płynne
Przebłyska światło wiekuiste.

To jest muzyka. Słowa grają melodje Mozarta. Lapidarność słowa dziwnie kojarzy się z muzykalnością wiersza.

Poezja Jarosława Iwaszkiewicza mimo, iż znajdzie wielu przeciwników, doszukujących się w tomie „Lato 1932" wielu wad i niedociągnięć pozostanie dla olbrzymiej większości poezją prawdziwą, tą której od tak dawna oczekujemy.

Ze świata

Koloniści polscy w Haiti

Pierwsi koloniści polscy przybyli na Haiti w r. 1763 i stworzyli własne osiedle około Bombardopolis. Inni pozostali po ekspedycji wojennej Napoleona; zbratali się oni z miejscową ludnością i bronili niejednokrotnie jej niepodległości. Bohaterstwo to zostało nawet upamiętnione w konstytucji Haiti. Datująca się sprzed 130 lat konstytucja Haiti zabraniała nabywania nieruchomości ludziom białej rasy. Jedyny wyjątek zrobiono dla Polaków. Prawo to było ich przywilejem zgórą przez 100 lat, dopiero bowiem przed kilku laty przyznano je innym białym.

Co słychać w polityce?

Wciąż jeszcze na czoło zagadnień politycznych ub. okresu wybija się sprawa *angielsko-niemieckiego* nieporozumienia w sprawie niemieckiej floty wojennej. Układ ten, znaczeniem swoim wybiega daleko poza ramy, wzajemnego cyfrowego stosunku obu flot. W prowadzonej przez Trzecią Rzeszę, na dziesiątki lat zgóry obliczonej polityce, zdobycie swobody tak znacznego zbrojenia się na morzu, jest równoznaczne z zajęciem ważnej pozycji wypadowej, dla realizacji niemieckich zamysłów na Wschodzie Europy.

Krok Anglji podyktowany wyłącznie względami na własne bezpieczeństwo jest nowym dowodem powojennej krótkowzroczności polityków zachodnich, którzy nie chcą uznać zasady, niepodległości pokoju europejskiego i zagadnienie to dzielą na dwa główne odcinki, zachodni, obstawiony licznymi gwarancjami i wschodni, gdzie wszystko znajduje się jeszcze w stanie płynnym.

Obecnie usiłowania dyplomacji angielskiej zwróciły się ku zagadnieniom utrwalenia pokoju na zachodzie Europy. *Podróż ministra Edena do Rzymu*, jego rozmowy z Mussolinim oraz jego pobyt w drodze powrotnej w Paryżu, miały na celu omówienie tych wszystkich zagadnień, które łączą się z protokułem londyńskim z lutego b. r. wysuwającym jak wiadomo na plan pierwszy kwestję paktu lotniczego, znów z położeniem głównego nacisku na zachodnie rozwiązanie tego zagadnienia.

W rozmowach z Mussolinim poruszono poza tem również kwestję abisyńską.

Rozmowy rzymskie nie wniosły w atmosferę europejską nowych istotnych momentów. Pozytywna ich wartość leży w tem, że zdołały one rozproszyć atmosferę nieufności, jaka po dość nieoczekiwanym kroku angielskim groziła definitywnem załamaniem się frontu wspólnego porozumienia osiągniętego w ludowych deklaracjach londyńskich i w układzie streseńskim. Podróż ministra Edena do Paryża i Rzymu miała na celu, poza jej charakterem informacyjnym, nawiązanie nici wspólnego porozumienia i włączenia nowej fazy polityki angielskiej w system współpracy ustalonej w Londynie i Stresie.

Rozbieżności pomiędzy polityką i dążeniami dwóch pozostałych partnerów porozumienia trzech mocarstw zachodnich istnieją nadal. *Anglja* kładzie główny nacisk na zawarcie paktu lotniczego, podczas gdy dyplomacja francuska dąży przedewszystkiem do finalizacji paktu wschodniego, a *Włochy* do zawarcia paktu naddunajskiego. Pozatem *Francja* obstaje przy swej tezie, według której wszelkie układy powinny następować równocześnie, ku czemu zdają się skłaniać również *Włochy*, podczas gdy Anglja zdaje się popierać raczej tezę niemiecką, układów dwustronnych, w mniemaniu dyplomatów angielskich skuteczniej gwarantujących pokój.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 7. VII. do 13. VII. 1935 r.

Niedziela, dnia 7 lipca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa z Krakowa 12.03 „W ognistej Andaluzji" 12.20 Poranek muzyczny 13.00 „Hernani" Wiktora Hugo w Teatrze Wyobraźni 13.20 C. Goldmark: „Wesele wiejskie" 14.00 Muzyka lekka 15.00 Ostatni czas przed żniwami 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Muzyka 15.45 Nowoczesne poplony 16.00 Utwory fortepianowe kompozytorów polskich w wykonaniu Maryli Jonasówny 16.30 Utwory na cytrę 16.45 Typy powieści egzotycznej 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Transmisja z Obozu Przysposobienia Wojskowego męskiego w Pasiecznej 18.15 Founod: Muzyka baletowa z op. „Faust" 18.30 „Cała Polska śpiewa 18.40 Podróż wagonem motorowym i samolotem — reportaż 19.25 Koncert 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Józef Piłsudski, realizator Niepodległości — wygł. Dr. Wacław Lipiński 20.10 Goldmark: Koncert skrzypcowy a-moll, w wykonaniu Bronisława Gimpla 20.45 Wybrane myśli Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21,00 Trio wokalne — M. Karwowska (sopran), Janusz Popławski (tenor) i Tadeusz Łuczaj (bas) 21.30 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 Nasza Marynarka gra 23.05 Muzyka jazzowa.

Poniedziałek, dnia 8 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 15.30 Muzyka wokalna 16.00 Wędrówka dookoła globu 16.15 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Krótki recital śpiewaczy Sabiny Szyfmanówny 17,15 Melodje operetkowe 17.40 Koncert kameralny 18.00 Jak powstaje talerz na którym jadamy? 18.15 Cała Polska śpiewa 13.30 Camping — najnowszy sposób spędzenia wakacji 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Koncert solistów 19.30 Nałęczów — transmisja z parku 19.50 Poezje o Józefie Piłsudskim 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Audycja Słowacka z Krakowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21,00 Koncert symf. pod dyr. Grzegorza Fitelberga, oraz Henryk Sztompka 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 9 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert z udziałem solistów 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert Trio Dworakowskiego 13.30 Z rynku pracy 15.30 Mała Orkiestra P. R. 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert solistów 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Z wizytą u Offenbacha 18.00 Ciemność nocy 18.10 Minuta poezji 18.15 „Cała Polska śpiewa — audycja z Krakowa 18.30 Rozmowa 18.45 Muzyka salonowa 19.30 Drobne polskie utwory fortepianowe w wyk. Lucyny Robowskiej 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 „Aleko" — opera w 1-m akcie Sergjusza Rachmaninowa 20.45 Dziennik wieczorny 20,55 Z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.10 Wesele polskie 22.00 J. Brahms: Warjacje na temat Haydna 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Mała Orkiestra P. R.

Środa, dnia 10 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Recital wiolonczelowy Lucjana Budkiewicza 15.30 Arje i pieśni w wyk. Jana Kiepury 16.00 Lato dla zdrowia i urody" 16.15 Władysław Zeleński: Kwartet fortepianowy op. 61 16.50 Wędrówka Joanny 18.00 Wesoły skecz 18,15 Cała Polska śpiewa 18.30 Opowiadanie dla dzieci 18.50 Koncert 19.30 Recital śpiewaczy Romany Hambrigh 19.50 Swiat się śmieje 20.00 Nasz rynek warzywny 20.10 Muzyka lekka 20.35 Dziennik wieczorny 20.45 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 20.50 Henryk Wieniawski — genjusz gry skrzypcowej 21.00 Koncert utworów Henryka Wieniawskiego 21.35 Odczyt o Marszałku Piłsudskim 21.45 Koncert 22.05 Wiadomości sportowe 22.15 Mała Orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 11 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Pieśni ludowe z półwyspu Bałkańskiego 15.30 Muzyka 16.00 Opowiadanie dla dzieci — wygł. Stary Doktór 16.15 Koncert solistów 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 O książkach Hedemana: „Dzisna i Druja" i „Dawne puszcze i łowy" 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Dokąd jechać w święto 18.45 Koncert Orkiestry Dętej B. B. C. 19.30 Fragmenty ze „Złota Renu" R. Wagnera 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 20.10 A to państwo znacie? — no to posłuchajcie! 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Pół godziny pieśni i słowa hebrajskiego 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko „Sąsiedzi" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 12 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 A. Thomas: muzyka baletowa „Swięto wiosny" 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka wokalna 16.00 Higjena ubrania w lecie 16.15 Koncert Orkiestry salonowej pod dyr. Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogawędka dla chorych 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Mieczysław Fogg w swoim repertuarze 17.30 Forellen-Quintet Fr. Schuberta 18.00 Małoryta poleska świeci przykładem 18.15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka salonowa 19.30 Recital śpiewaczy Wandy Wermińskiej 19.50 Wesoły monolog aktualny, pióra Marjana Hemara 20.00 Skrzynka rolniczą 20.10 Audycja literacko-muzyczna (W dwa miesiące po śmierci Marszałka 20,45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka.

Sobota, dnia 13 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Zespół salonowy Pawła Rynasa i Zygmunta Ledermana 15.25 Nasz handel morski 15.30 Wesoła audycja dla dzieci 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Recital fortepianowy Natalji Weismann-Hubierowej 16.50 Wędrówka Joanny 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Koncert solistów 19.30 Nasze pieśni 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 21.10 „Proszę mówić wyraźnie" lekka audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.30 Noc w Hiszpanji 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Wielkopolska w przekroju 22.30 Mała Orkiestra.

CHWILA ZASTANOWIENIA

A R Y T M O G R A F. ul. „Luis"

		2	15	*1*	7	6				
		22	1	*8*	11	7				
		8	1	*18*	9	3				
		22	23	*1*	13	17				
22	18	4	18	*24*	5	14	9	3		
	22	11	8	*6*	1	8	16	9	11	
	19	7	22	*11*	15	3	11	7		
		20	21	*14*	22	18	11	7		
	11	13	11	*13*	3	11	7			
		1	9	*10*	14	18				
		4	18	*24*	2	24	11			
		3	24	*22*	11	7				
		5	8	*3*	25	12				
		6	1	*8*	16	17				
		11	7	*6*	11	7				
	20	1	18	*9*	20	14	15	1	11	7

Liczby zastąpić literami tak, by otrzymać 16 nazw ptaków. Litery w rzędzie, w którym cyfry są oznaczone pismem pochyłem, dadzą rozwiązanie.

B I L E T Y W I Z Y T O W E

uł. Witold Małaczyński — Łysinin

KAZIM. RINO

BR. NEDZA

Odgadnąć zawód właścicieli biletów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 12 lipca b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 25 „Moich Powieści": A r y t m o g r a f: Uzbrojone Niemcy, to nowa wojna!. T r ó j z n a c z n i k: rak.

Trafne rozwiązania nadesłali: Julja Marczewska — Białystok, Tatjana Konińska — Lwów, Urszula Słobodzianka — Węgry, Aleksander Wilgocki — Kalisz, Zenon Nowak — Myślenice, Leon Kupsz — Anin, Józef Kobielak — Pleszew, Andrzej Komosiński — Pleszew, Wincenty Kott — Puszczykówko, „Szaradzista."

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Tatjanie Konińskiej z Lwowa i „Szaradziście."

RADY PRAKTYCZNE

Plamy od much

z bielizny puszczają po natarciu przekrajaną cebulą, a następnie wypłokaniu w wodzie destylowanej.

Jedwabne abażury lamp — zbrudzone przez muchy — najpierw oczyścić z kurzu, potem zamoczyć w mocnym amonjaku albo w wodzie z octem lub też w ługu i szczotkować miękką szczotką, a nie przecierać w rękach. W końcu wypłókać w czystej wodzie. Suszyć w przewiewie, a nie na słońcu.

Plamy od much na meblach najlepiej czyścić sokiem cebuli — nacierać kilka razy, dopóty plamy nie zejdą. Jeśli politura zostałaby zniszczona, przetrzeć meble delikatnie flanelą z następującą mieszaniną: 1/4 ltr. oleju lnianego i 1/4 ltr. spirytusu zmieszać w butelce, niech postoi 24 godziny. Następnie mocno skłócić, maczać w płynie flanelowy gałganek i wyczyszczone poprzednio z plam meble wycierać — następnie wyglansować suchym gałgankiem, a meble będą jak nowe.

Z powodu remontu maszyn ostatnie numery „Moich Powieści" wyszły z pewnem opóźnieniem. zaco Czytelników naszych najmocniej przepraszamy.

REDAKCJA.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

43)

„Nie mów tak, Naneto!“ wybuchnęła z rozpaczą w głosie Celestyna. „Ja nie mogę tego słuchać, — to nieprawda, ty nie umrzesz, — w ostatnich dniach było ci lepiej już, — kaszel ustał już prawie zupełnie, — gorączka cię już tak nie trawi. — Nieprawdaż, toć przecie pomyślne oznaki, — a sama przecież jeszcze dzisiaj rano zapewniałaś mię, że się zdrowszą i silniejszą czujesz.“

„To prawda, zapewniałam cię,“ rzekła chora, z lekkiem westchnieniem usuwając się na poduszki, „ale to było pierwsze kłamstwo, którego m się poraz pierwszy w życiu względem ciebie dopuściła, — niewinne kłamstwo, którego litościwe Nieba pewnie mi nie policzą. Nie mogłam, moja droga Celestyno, patrzeć dłużej na twoje łzy, na twoją rozpacz! Ale teraz, — teraz wszystko stracone! Wiem już, że muszę umrzeć. To właśnie, co uważasz za symptomy poprawy, to są właśnie zwiastuny śmierci. — Tak, tak, — moja droga, — nie kaszlę już, bo nie mam czem, — płuca wykaszlałam, — gorączki nie mam, bo krew nie jest już w stanie wywiązywać ciepła, — czuję moja siostro, że jeszcze tej nocy Stwórcę oglądać będę.“

Płacz Celestyny stawał się głośniejszym — głowa jej upadła na rękę nieszczęśliwej, przycisnęła usta swe do niej.

„A teraz, moja droga“, mówiła Naneta, „dziękuję ci jeszcze raz za wszystko, coś dla mnie zrobiła. Odkąd straciłyśmy rodziców, otoczyłaś mnie opieką z takiem zaparciem się siebie, że Boga by chyba w niebie nie było, gdyby to miało minąć bez nagrody. Ty miałaś wtedy lat 13, ja liczyłam ich 8, — byłyśmy tak biedne, że nie miałyśmy nawet za co rodzicom sprawić pogrzebu. Tyś przecie nie straciła głowy i nie rozpaczała, — szukałaś roboty i znalazłaś ją, siedziałaś w tej izdebce od wczesnego ranka do późnego wieczora i malowałaś piękne wachlarze dla bogatych pań. Nie pozwalałaś mi to, bym ci pomagała, — posyłałaś mię do szkoły, bym się czegoś nauczyła, — ubierałaś mię i troszczyła się o wszystko, czego mi było potrzeba. A jednak, gdyś myślała, że leżę w łóżku i śpię, czuwałam i patrzyłam na twoją walkę ze snem i znużeniem. Widziałam to nieraz. Sen kleił ci powieki, — siłą woli odpędzałaś go, jakby kto niewidzialny stał za tobą i zmuszał cię do pracy, wołając stentorowym głosem: musisz i jeszcze raz musisz!“

„Tak, musisz!“ załkała Celestyna, przyciskając drżącą rękę do falującego łona. „Tak, musisz, te słowa były gwiazdą przewodnią mego życia. Musisz! — To mię pchało naprzód nieprzepartą siłą. — Mój Boże, Tyś świadkiem moim, Ty wiesz najlepiej, jak szczęśliwą się czułam mimo tego, wtenczas, gdym przy tym małym stoliku siedziała i wachlarze malowała. A chociaż nieraz ręce opadały ze znużenia i odmawiały dalszej posługi, — choć w nich ból czułam, — chociaż nieraz dniami pochylona siedząc, członków wyprostować nie mogłam, — o, jak szczęśliwą byłam ja wtenczas!“

Łzy gorące spływały jej po twarzy. Naneta objęła ją wychudłemi ramionami i przycisnęła do wychudłej piersi.

„Nie płacz. Celestynko, moja droga siostrzyczko! Ja nie mogę patrzeć na twoje łzy; gdy mnie nie będzie, będziesz zwolniona od ciężaru. Moja choroba, która mię przed sześcioma miesiącami tak nagle i złośliwie rzuciła na łoże, obróciła wszystko w niwecz! I ja ładną sumkę zarabiałam moimi sztucznymi kwiatami. Tyś mi pomagała. I nigdy ci na dobrym humorze nie zbywało, — zawsze byłaś wesoła aż do onego nieszczęsnego dnia, kiedym poraz pierwszy krwiotoku dostała. Pamiętasz, Celestyno?“

„Proszę cię, nie wspominaj o tem siostro, — serce mi się na tę myśl rozdziera!“

„Nie, i owszem, pozwól mi mówić o tem, bo to był początek naszego cierpienia. Siedziałam tam właśnie, przy stole i co tylko skończyłam pracę, — wieniec z róż czerwonych, — w tem nagle zrobiło mi się w ustach dziwnie nieprzyjemnie, — odkaszlnęłam — — strumień krwi polał się z ust moich na róże!

„To był wieniec na mój grób! Proszę cię, siostro, przyrzeknij mi, — gdy umrę, włóż mi ten wieniec na głowę, — on leży w szafce, tam go schowałam! Niech idą te róże, krwią moją zlane, także ze mną do grobu.“

„Przyrzekam ci!“ wyjęknęła Celestyna, „okrutną jesteś, siostro, że mi ciągle mówisz o swojej śmierci!“

„Dla tego tylko, moja najdroższa, by sobie raz jeszcze przypomnieć te wszystkie dobrodziejstwa, któreś mi wyświadczyła. Jakżeś ty się nacierpiała i napracowała w tych sześciu miesiącach, w tym strasznym czasie mojej choroby! To szczęście w nieszczęściu jeszcze, że ten poczciwy stary malarz, któremu ciągle teraz służysz za model, w tej pięknej, jedwabnej sukni, przyjął cię i tak dobrze płacił, żeś mogła opłacać lekarzy i kupować lekarstwa i te drogie wina, któremiś napróżno mój osłabiony organizm próbowała wzmacniać. Pozdrów go ode mnie, Celestyno, twego dobrego malarza, — powiedz mu, że go błogosławię i proszę serdecznie, by i na dal nieopuszczał ciebie.“

Celestyna była bliską obłędu. Rękami zasłoniła twarz, — szczęście, że Naneta przymknęła oczy, bo inaczej nie uszłyby jej wzrokowi zdradzieckie rumieńce, które policzki jej pięknej siostry okryły.

Ach, bo to wszystko, o czem teraz Naneta mówiła, było kłamstwem; tkaniną obłudy, — roboty Celestyny, by siostrę zwodzić. Nie do malarza szła ona co wieczora, przywdziawszy jedwabną suknię i wystroiwszy się, — nie. — do „czerwonej kotki“ prowadziły jej kroki, — na drogę występku. Ale niebo jej świadkiem, — w sercu jej własnem ta żądza nie powstała, — kto inny pożądnął ją na tę drogę, ktoś, komu ona zaufała.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z drgających ust Celestyny, gdyż w tej samej chwili, kiedy ręce opuściła, ujrzała markiza na progu stojącego.

Siwe oczy zaświeciły się blaskiem, — nie, nie siwe były w tej chwili te przerażające, rozkazujące oczy, tylko ciemne, niezgłębione, jak morze przed nastaniem burzy — ciemne a blaskiem fosforycznym lśniące; — prawdziwe tygrysie oczy.

Celestyna zerwała się, — chwiejnym krokiem zbliżyła się do markiza i szepnęła mu z bolesnym wyrazem twarzy do ucha:

„Tylko nie tu! Wejdź pan ze mną do małego gabinetu! — Zlituj się pan nade mną, — niech się tylko siostra moja nie dowie o mym upadku!“

Satanelli skinął głową, jakby na znak, że się z nią zgadza. Odsunęła zasłonę; za którą mniejsza jeszcze była izdebka, widocznie do przechowywania najrozmaitszych starych gratów, po rodzicach jeszcze pozostałych, służąca. Bo jak wszyscy ludzie dobrego serca nie mogły obydwie siostry rozłączyć się z tem wszystkiem, — chociażby to najmniejszej nie przedstawiało wartości, — co im ukochanych rodziców przypominało.

Celestyna przystanęła u zasłony, spozierając na chorą. Zdawało się, że Naneta śpi.

„Tak, ona śpi“ szepnęła Celestyna, „długa rozmowa ze mną znużyła ją. Szczęście, że go przynajmniej nie będzie widziała, ani słyszeć, co mi ma do powiedzenia. Śpij, śpij, moja droga, biedna siostro. Bodaj ci ten sen przyniósł pokrzepienie, jeżeli już nie zdrowie!“

Zwróciła się do drzwi. Gdy próg przestępowała, odbywała się w niej walka z odrazą, jaką miała do markiza.

„Czegoż pan chcesz?“ rzekła, stając przed nim. „Pocoś pan tu przyszedł? Chcesz że mi i to, co mam jeszcze jedynego na tej ziemi, odebrać? Chcesz mnie pozbawić szacunku mej siostry, tego biednego, niewinnego dziecka, które nie przeczuwa nawet, co się ze mną stało?“

„Jakże się ma mała Naneta?“ zapytał obojętnym głosem markiz, tak, jak gdyby nie słyszał tego, co przed chwilą w ekstazie i ze łzami w oczach Celestyna wypowiedziała, — „przyszedłem właściwie tylko po to, by się dowiedzieć, jak się twojej siostrze powodzi. Cierpi jeszcze ciągle, — jeszcze nie wybawiła jej śmierć z tych mąk?“

„Śmierć!“ powtórzyła Celestyna, robiąc ruch ręką, jakby chciała tego anioła pomoru od łoża siostry odegnać, — „o panie markizie, czyż pan nie wiesz, że śmierć mojej siostry także moją śmiercią byłaby?“

„Przeciwnie, moja droga Celestyno!“ odrzekł Satanelli, gładząc swą czarną brodę białymi, zdobnymi w brylantowe pierścienie, rąk palcami. „Jestem przekonany, że stoisz u progu wspaniałej karjery, do której chora była dla ciebie zawadą. Jesteś piękną i to nadzwyczaj piękną i nie powinnaś dopuścić sama, by ta piękność tu na tem poddaszu miała zmarnieć! Bagno „czerwonej kotki“ to nie dla ciebie!

„Posłuchaj mnie, Celestyno“ ciągnął dalej Satanelli, a głos jego w tej chwili stał się łagodny, — „ja przychodzę, by położyć kres twojej nędzy. To straszne życie, które teraz prowadzisz i które, jak o tem jestem przekonany, jest dla

ciebie już do niezniesienia, musi wreszcie mieć swój koniec."

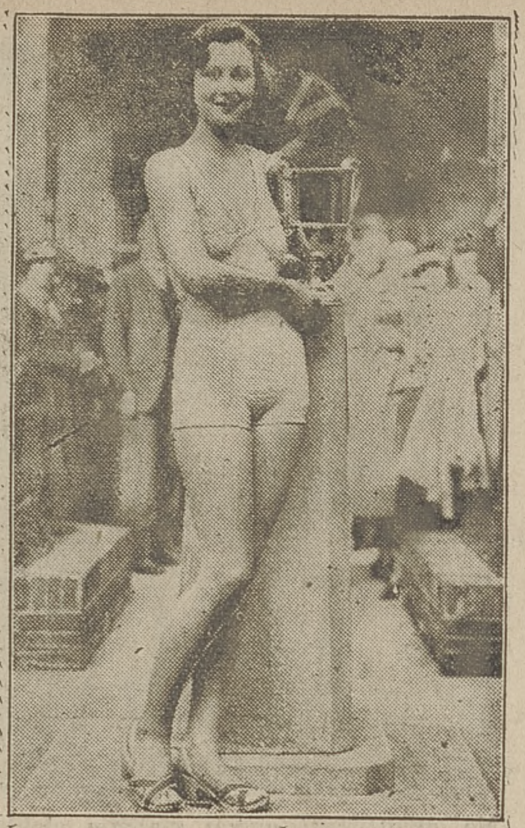
„To prawda, choć przez usta pańskie nigdy prawda nie przeszła", rzekła dziewczyna, „to tym razem wypowiedziałeś pan prawdziwe słowo. Rzeczywiście do niezniesienia, — ale za łagodnie wyraziłam się. Bo nietylko do niezniesienia, ale wstrętnem jest moje obecne życie, pogardzam niem sama. Bóg moim świadkiem: dawnobym już była zawarła bliższą znajomość z trucizną, lub rzuciła się do Sekwany, by raz już to nędzne zakończyć życie, tylko myśl o mej biednej chorej siostrze powstrzymywała mię od tego kroku. — Cała troska o nią spoczywała przecież na mojej głowie, — któż się miał starać o lekarza, lekarstwa, drogie wina i to wszystko, co mogło przynieść ulgę w chorobie. A że nie byłam w stanie w uczciwy sposób zarobić tyle pieniędzy, — dałam się wciągnąć w bagno moralne, które mi powolną ale pewną zagubę sprowadzi. A kto temu winien, jeżeli duszę zatraciłam, jeżeli niewinność postradałam, jeżeli dziś niczem innem nie jestem, jak prostą ladacznicą?"

„Ja", odparł markiz, z takim spokojem, jakby dawał odpowiedź na najobojętniejsze w świecie pytanie, „tak, ja — ja tylko winien jestem, moja piękna Celestyno, że nie jesteś więcej tą pilną robotnicą, co do późna w nocy na tem poddaszu czuwała, by za niemal grosz żebraczy ręce sobie do krwi zapracowywać, — tylko chodzisz teraz w jedwabiach, — że masz obecnie środki do pielęgnowania siostry, że nie byłaś zmuszona oddać jej do którego z owych strasznych szpitali, gdzieby już dawno była oczy na wieki zamknęła, gdy tymczasem ja teraz staranną opieką otaczać jesteś w stanie, — tak, moja Celestynko, to moja wina! — Zresztą mam jeszcze jeden dowód do uniewinnienia się na to, co między nami zaszło", ciągnął dalej Satanelli, zbliżywszy się do dziewczyny tak blisko, że oddechem swoim muskał ją po twarzy, — „mogę cię zapewnić, że nie mogłem się oprzeć twoim wdziękom i dlatego musiałaś zostać moją kochanką."

„Kochanką pańską!" powtórzyła Celestyna, mierząc go z pod długich, ciemnych, jedwabnych rzęs spojrzeniem, pełnem niewypowiedzianej pogardy.

„Niestety, byłaś tak nierozsądną, mówił Satanelli, „i nie przyjęłaś świetnych propozycyj, które ci robiłem. Nie chciałaś sprowadzić się do małego domku, który ci tak wygodnie urządzić chciałem pod warunkiem, że się rozstaniesz z siostrą."

„Tego nigdy nie zrobię", zawołała Celestyna, „słyszysz pan, — nigdy! Raczej co nocy chodzić będę do „czerwonej kotki" i tam za dziesięciofrankówkę od jednookiego, któremu się zdaje, że jestem przynętą dla jego osławionego lokalu — tańczyć. Ach, — gdyby ci mężczyźni, którzy ze mną w tańcu przelatują salę, wiedzieli, jak mi wtedy na sercu, — gdyby przeczuwali, że myśli moje wtedy nie tam, przy nich, lecz na poddaszu przy mojej biednej, chorej siostrze, na której spotkanie śmierć się już zbliża, — o gdyby wiedzieli, jak często wykradam się stamtąd, — z powodzi



Ta śliczna panienka — to najładniejsza podobno kobieta Anglji, taki przynajmniej tytuł zdobyła w tym roku na konkursie piękności.

światła, by choć na chwilkę zajrzeć do Nanety i przekonać się, czy jest jeszcze przy życiu i czy jej czego nie trzeba! — Ale zaledwie gorące jej czoło otarłam z potu, zaledwie wyrzekłam kilka słów pociechy a już powracać musiałam napowrót do tego strasznego przybytku występku i grzechu. I tam na dole musiałam się uśmiechać, — śmiać się, podczas, gdy mi się serce krajało. — Boże, mój Boże, czuję aż nadto dobrze, że tego życie dłużej nie zniosę. Widzę, że sama zginę. Panie markizie, jeżeli pan znasz jaki inny sposób, żebym mogła o siostrę mieć staranie, powiedz mi, — zlituj się nademną, — przez pamięć na tę straszną chwilę, kiedyś mię oszukał i pozbawił tego, co dla mnie było najświętsze, — niewinności mojej, — czystej, nieskalanej duszy.

„Markizie, jeżeli pan jesteś człowiekiem a nie, czem mi się tak często być zdawałeś: upiorem, co powstał z grobu, by krew moją wypijać, — o! to zlituj się nademną, — ratuj mię od zguby, przed którą dotychczas się ratowałam. Przysięgam panu, żeś dotąd jedynym mężczyzną, któremu się oddałam, — przed innymi udawało mi się dotychczas umknąć czy to przebiegłością, czy też gwałtem".

Nieszczęśliwa zamilkła. Słowa te wypowiedziała w namiętnem rozdrażnieniu, kąpiąc się we łzach, drżąc cała z widocznym na twarzy wstrętem i obrzydzeniem, które jej pierś przepełniały, które się w mowie jej objawiały.

Ani ona, ani Satanelli nie zauważyli, że za kotarą dzielącą gabinet od pokoju coś się poruszało, — oboje nie spostrzegli, że tam postać jakaś stała, jakby już do tego świata nienależąca.

Naneta to była, biedne, nieszczęśliwe dziecko które nie spało, jak to Celestyna sądziła.

Leżąc na łóżku podchwyciła pojedyńcze słowa, między markizem a siostrą wymienione, — słowa, które tak strasznie w jej uszach brzmiały, że dobyła sił ostatek, by się — wszystkiego, — całej prawdy dowiedzieć.

Nie miała pojęcia o wielkości ofiary siostry swej dla niej, nie przeczuwała że Celestyna, by ją tylko ratować i straszną chorobę, jeżeli nie zwalczyć, to przynajmniej łagodniejszą uczynić, zaprzedała się. Nie, — to biedne dziecko nie przeczuwało, że każda kropla lekarstwa, które zażywała, — że każda lampka wina, które piła, — że to wszystko, co z taką gotowością, by ją tylko ratować, dla niej Celestyna sprawiała, okupione było pieniędzmi od właściciela „czerwonej kotki" w zamian za całonocne ofiary, — zato, że noc w noc służyła za przynętę dla mężczyzn, którzy ten lokal odwiedzali.

Teraz, — teraz dopiero dowiedziała się o całej strasznej prawdzie; wysłuchała jej, cichaczem podsuwając się do kotary, za którą markiz i Celestyna stali. Napół leżąc, w klęczącej postawie, wysłuchała skargi swej siostry, — słyszała te straszne słowa:: „Ladacznica", — „czerwona kotka", — i zrozumiała wszystko!

Gdy Celestyna skończyła, gdy ostatnie jej słowo przebrzmiało, wydała Naneta straszny okrzyk, — dobywszy sił ostatek zerwała się i gwałtownie odsunęła kotarę.

Markiz i Celestyna cofnęli się przerażeni w tył, jak przed nagłem zjawieniem się widma.

„Siostro!" dało się słyszeć przytłumionym głosem z ust Nanety, „siostro dla mnie więcej cierpieć nie będziesz, — poświęciłaś się dla mnie, zrobiłaś ze siebie ofiarę, — teraz wolna jesteś! Czuję zbliżającą się śmierć! — Żegnam cię, Celestyno, biedna męczennico, — bądź zdrowa!"

„Boże Wielki, — biedne dziecko! — Ona wszystko słyszała!"

Rzuciła się do Nanety, w sam czas jeszcze, zaledwie zdołała pochwycić ją w ramiona.

A straszna zmiana zaszła z nią. Oczy, przed chwilą fosforycznym blaskiem połyskujące, blask wszelki, jak świeca zgaszona, straciły. Rysy twarzy wydłużyły się, szczęka dolna opadła, — usta szeroko otwarte. Całe ciało, koszulą tylko odziane, bez najmniejszej władzy na rękach Celestyny zwisło.

„Umiera!" krzyknęła Celestyna, objąwszy silnie ramionami nieszczęśliwą siostrę, której życiu udar serca nagle kres położył, „markizie! — pomóż, ratuj, — lekarza, — na Boga, prędko lekarza, — moja siostra, — mój skarb jedyny, jaki na ziemi posiadam, — Boże! — Ona nie żyje!"

„Tak, nie żyje!" powtórzył Satanelli, schylając się nad bladem obliczem Nanety, „tak, Celestyno, — twoja siostra przestała cierpieć, — umarła!"

„Nieprawda!" wrzasnęła nieludzkim głosem Celestyna, jak lwica, gdy jej chcą młode odebrać przemocą, „to kłamstwo! — Podły, coś ze mnie zrobił, — oszukałeś mnie, — a teraz, — teraz chcesz mi jeszcze siostrę odebrać! — Precz stąd, — nie dotykaj się jej swoją grzesz-

ną ręką, — ja nie chcę, słyszysz, — ja ci zabraniam! — O chodź, chodź, Naneto, przytul się do mnie, ja cię rozgrzeję, — ja ci własnej krwi natoczę i ożywię, — bo ty musisz zostać przy mnie, musisz! — Boże Wielki, — ona zimna jak lód, — oczy bez wyrazu, — i ani słowa nie ma dla mnie, jednego wyrazu miłości! Nie żyje, — umarła, — i ja sama jedna, — opuszczona, — sama jedna na ziemi“.

Kolana zachwiały się pod nią, upadła przy progu, ciągle jeszcze w ramionach trzymając martwe zwłoki siostry.

A Satanelli, — on wciąż spokojny, patrzał z zimną krwią na scenę, która się przed jego oczami odegrała. Ani ruchu nawet ręką nie zrobił, by Celestynę z omdlenia ocucić.

„Udało się,“ szepnął sam do siebie, — „dwie pieczenie przy jednem ogniu upiecze się, „ta Naneta w samą porę umarła, — trup jej zda mi się, by hrabiemu Zamskiemu udowodnić, że Anielcia Dubois nie żyje. — A jej piękna siostra posłuży mi także do celu. Może uda się jej zapełnić lukę, powstałą po śmierci Anielci, w sercu Kazimierza! A piękna jest, — jakby stworzona na to, — już ja ją ulokuję w domu hrabiego. — Na każdy sposób będę miał z niej znakomitego szpiega, który mi o wszystkiem donosić będzie, co się dzieje w domu hrabiego.

„Postaram się, by małżonkowie, piękna Lola i hrabia Kazimierz już się więcej do siebie nie zbliżyli. Przedział, który między nimi istnieje, musi być jeszcze powiększony. Tylko wtedy mogą moje plany przyjść do skutku, — i pewnego pięknego dnia będzie Lola hrabina Zamska moją a z nią, — ogromny majątek hrabiego Zygmunta Sokolskiego“.

I na ustach markiza zaigrał uśmiech. Obraz przyszłości roztoczył się przed nim, — urzeczywistnienie planu, który powziął, gdy Lolę poraz pierwszy obaczył.

Bo czyż mógł świetniej zakończyć swą karjerę zbrodniarza, jak stając się na zawsze miljonerem a zarazem pojmując za małżonkę najpiękniejszą kobietę Paryża?

Gdy Celestyna przyszła do siebie, znalazła się na sofie, podczas gdy jej siostra z rękami na piersi skrzyżowanemi a z wieńcem czerwonych — papierowych róż we włosach, leżała na łóżku.

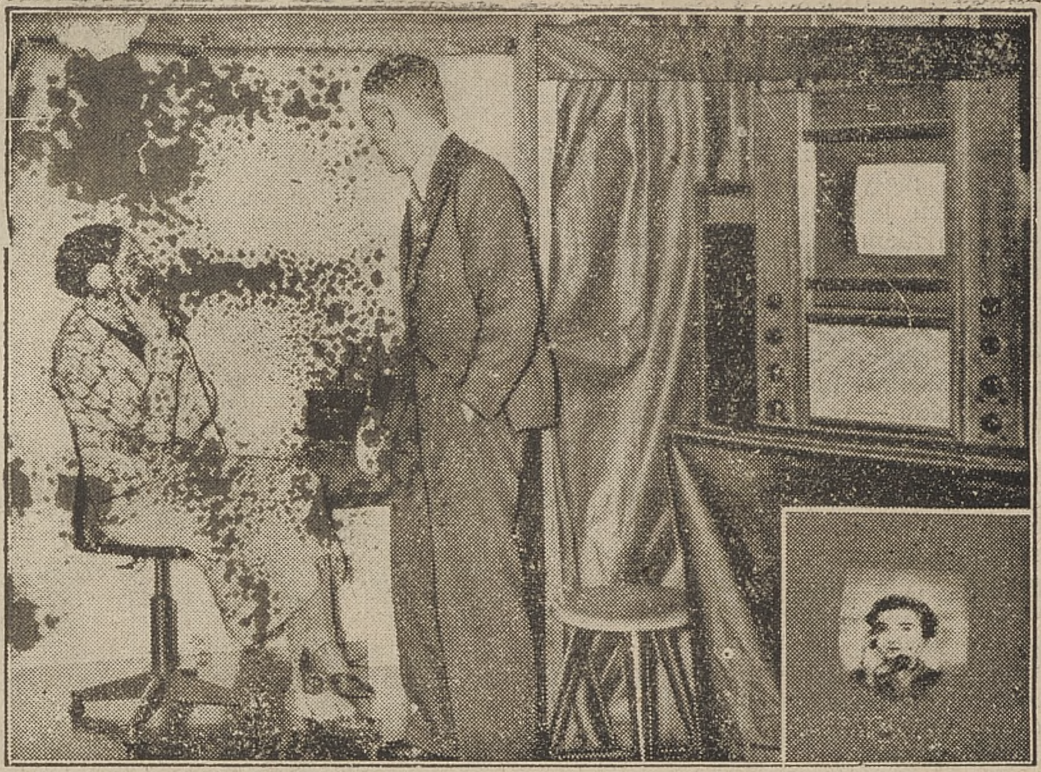
O kilka kroków od Celestyny stał Satanelli jak posąg nieruchomy.

„Opamiętaj się, Celestyno“ rzekł, „co się stało, odstać się nie może. Znoś nieszczęście z godnością. Siostra nie odżyje. — teraz trzeba myśleć o sobie!“

„O mnie?“ odparła przytłumionym głosem Celestyna, „o mnie troszczyć się pan nie potrzebujesz, panie markizie, — ja już wiem, co mam począć“.

„Głupota!“ zawołał markiz. „Przecież nie myślisz, odbierać sobie życia? Toby było największe, głupstwo, jakiebyś popełnić mogła, Celestyno. Kto, tak jak ty przez naturę wyposażony, ten nie ma racji pozbawiać się życia. Biednemu dziecku, co tam leży, nicby z tego nie przyszło.

„Jak widzisz“, dodał ręką wskazując, „ostatnie życzenie twej biednej siostry już wypełniłem. Włożyłem jej na głowę wieniec, którego róże krwią jej są zlane“.



Na międzynarodowym zjeździe elektryków w Berlinie zademonstrowano postępy telewizji — aparat telefoniczny połączony był z fotocelą telewizyjną, przy pomocy której osoba rozmawiająca mogła widzieć swego rozmówcę na odległość. Na zdjęciu widzimy celę telefoniczną — u dołu: obraz widziany przez rozmawiającego.

„Pan uczyniłeś to, markizie?“ zawołała Celestyna, „więc pan wiedziałeś —“

„Słyszałem wszystko, bo stałem przy drzwiach, gdy Naneta ostatnie swoje życzenie przed tobą wypowiadała. Pogrzeb jej także biorę na siebie. Postaram się, by był taki, na jaki się tylko bogaty człowiek dla córki swojej zdobyć może. Na grobie twej siostry będą kwitły fiołki i niezapominajki, — a kamień marmurowy będzie nosił jej imię, by nie uległo zapomnieniu“.

„Więc nie jesteś pan, panie markizie, tak zły, jak sądziłam,“ zawołała Celestyna ze łzami w oczach; „chociaż cię żyjąca istota wzruszyć nie zdoła, potrafi to przynajmniej śmierć“.

„Zły czy dobry“, odparł Satanelli, wzruszając ramionami, „nie robię się lepszym niż jestem. Ja jestem człowiekiem, Celestyno, który się na życie z praktycznego punktu widzenia zapatruje. Dlatego pozwól mi, że ci będę pomocnym, byś nowe życie rozpoczęła. — Nie, Celestynko, nie będziesz potrzebowała dłużej chodzić do lokalu pod „czerwoną kotką“ i tam obracać się w tańcu ze wstrętnymi, obcymi mężczyznami. — Kochałem cię kiedyś, i tyś mi się oddała! Poczuwam się przeto do obowiązku troszczenia się o twoją przyszłość“.

„Po raz pierwszy obudza się w panu sumienie“, rzekła Celestyna. „Biedna moja Naneto, śmiercią swoją przynajmniej to jedno zdziałałaś, — skruszyłaś serce tego, który się niczem wzruszyć nie dawał“.

„Słuchaj, Celestyno“, ciągnął dalej Satanelli, jakby ostatnich słów pięknej dziewczyny wcale nie był słyszał, „masz ochotę wstąpić w uczciwą służbę, w zamożnym i dystyngowanym domu, gdzie od ciebie niczego innego żądać nie będą, jak uczciwości i sumiennego spełniania obowiązku i uległości!“

„Ach, i z jakąż ochotą“ zawołała Celestyna, „jak chętnie służyłabym i pilnie pracowała od wczesnego ranka aż do późnego wieczora. Niestety! W tem wielkiem mieście za dużo jest ludzi, co chleba szukają i za służbą się oglądają. Któżby mię wziął do swego domu bez żadnych świadectw?“

„O to się nie troszcz, dla ciebie służbę już mam“, odrzekł Satanelli. „Znam tu jedną wysoko położoną osobę, młodą hrabiankę, która mię niedawno temu prosiła, bym się jej postarał o dziewczynę, na którą by się bezwarunkowo spuścić mogła. — Ale dłużej czekać nie może, jak do jutra. Jeżeli więc chcesz objąć jutro służbę, musisz mi już zostawić zajęcie się pogrzebem“.

„Co? — Siostry swojej nie miałabym odprowadzić nawet na cmentarz? Nie, — raczej zrzekam się całej przyszłości. Ja muszę stanąć nad jego grobem i pierwszą grudkę ziemi rzucić na jej trumnę. To ostatnia przysługa, którą mogę jeszcze wyświadczyć siostrze. I tak więcej zrobić dla niej nic nie będę mogła“.

„Nie bój się, ja cię uwiadomię o godzinie pogrzebu“, rzekł markiz, „hrabina pozwoli ci udać się na cmentarz. Powóz będzie cię oczekiwał w tym celu. Spodziewam się, że pod każdym względem będziesz ze mnie zadowolona. A teraz napiszę jeszcze krótki list, — oddasz go jutro rano hrabinie Loli Zamskiej, — to jest ta pani, która cię na służbę przyjmuje“.

„Markizie, ja pana nie poznaję“, rzekła dziewczyna. „Pan się troszczy o mnie jak — brat rodzony“.

Satanelli wyjął z kieszeni elegancki notes, — wyrwał z niego kartkę, — i o-



Młode Hiszpanki, zazdroszcząc zapewne sukcesów na arenie torreadorom, same zabrały się do czynnego uprawiania tego sportu narodowego.

prawnym w złoto ołówkiem nakreślił na niej następujące słowa:

„Hrabino! — Weź pani dziewczynę, która tę kartkę odda, natychmiast do siebie na służbę, — będzie hrabina miała z niej zwinną pokojówkę. Potrzebna jest do naszych celów. — Mam nadzieję, że znajdę Anielcię Dubois. W jednym z następnych dni doniosę więcej.

Lister.

P. S. Proszę o natychmiastowe spalenie tej kartki!"

„Nie masz małej koperty pod ręką?" zwrócił się markiz do Celestyny.

Dziewczyna podniosła się. Wyciągnęła szufladkę komody i podała markizowi, czego żądał.

On włożył w kopertę zapisaną kartkę, zalepił ją starannie, zaadresował do hrabiny Loli Zamskiej, następnie wręczył Celestynie.

„Szczęście twoje teraz od ciebie samej zawisło, — masz je w swojem ręku," rzekł; „jutro ubierz się całkiem pojedyńczo i idź o godzinie dawnastej do hrabiny. Gdyby cię wpuścić do niej nie chciano, oddaj tylko ten list a jestem jak najmocniej przekonany, że wszystkie drzwi staną dla ciebie otworem".

„Zrobię tak, jak mi pan radzi", rzekła Celestyna, „i dziękuję panu za to, że mię chcesz oddać do poczciwych ludzi. Wszystko robić będę, byłebym tylko nie była zmuszoną chodzić do tego przeklętego lokalu „pod czerwoną kotką" i tam uśmiechać się, gdy się serce krwawi".

„Tam, w tym domu, gdzie będziesz, wieść będziesz spokojne życie", odrzekł Satanelli, „a co się tyczy biednej zmarłej", ciągnął dalej, przystępując do łoża Nanety i obejmując wzrokiem jej postać, „każę ją jeszcze dziś w nocy wynieść".

„Wynieść? — Boże Wielki, — a to dokąd?"

„Dokąd? — Zbyteczne pytanie! — Dokądże transportuje się zwłoki? — Do trupiarni tego cmentarza, na którym będzie pochowana. — Prędko więc, Celestyno, pół godziny masz jeszcze czasu, by się pożegnać ze siostrą, — potem ją zabiorą".

„Pół godziny!" zaszlochała Celestyna. „O, to za krótko! — Biedna Naneto, zaledwie przymknęłaś oczy a już mi cię wydzierają i wloką na ten straszny cmentarz, gdzie cię złożą do snu wiecznego po wiek wieków".

„To los każdego człowieka", przemówił Satanelli. „Kto to może wiedzieć, czy i nas to jutro nie spotka. Bądź zdrowa, Celestyno, a nie zapominaj, że tylko pół godziny masz czasu na pożegnanie ze siostrą".

Wyszedł, — drzwi zamknęły się za nim, — Celestyna została sama jedna z trupem.

Teraz dopiero popuściła folgi swemu żalowi, — rzuciła się na łóżko zmarłej, — chwyciła jej zimne ręce a utkwiwszy wzrok w jej bladą twarz, z której życie uciekło, ozwała się ze skargą:

„Dobrze ci teraz, Naneto! Siostro, siostro, tyś do pozazdroszczenia, — tam, gdzie się teraz znajdujesz, panuje wieczny spokój, — nie potrzebujesz więcej obawiać się złości ludzkiej, — wszystko co ludzkie, nic cię już nie obchodzi, a to się nazywa szczęściem. — Ale ja, — ja pozostałam sama jedna na tej ziemi, — muszę dalej wędrować. — U obcych ludzi muszę na chleb zarabiać. — Kto wie, gdzie ja kiedyś zakończę me biedne życie i czy mi tak kto oczy zamknie, jak ja teraz tobie".

Kąpiąc się cała we łzach, przymknęła zmarłej powieki, — przymknęła jej usta. I twarz Nanety przybrała teraz całkiem inny wyraz, — zdawało się, że śpi. Spokój rozlany na jej twarzy czynił ją jeszcze piękniejszą.

Pół godziny mijało, — ze wzrokiem utkwionym w siostrę siedziała tak Celestyna, — nawet słowa modlitwy nie przeszły przez jej usta.

O cóż miała się modlić do nieba, które jej zabrało to, co miała jedynego na tej ziemi.

Za Nanetę modlić się nie potrzebowała, — ta już była pod Boską opieką a ona sama, — ach, doświadczeń tyle zrobiła, że nie modlitwa, lecz siła własnej woli, jest tym budowniczym, co gmach swego losu buduje.

Ktoś zapukał.

Celestyna ocknęła się, jakby z ciężkiego snu.

Chwiejnym krokiem podeszła ku drzwiom i otworzyła je.

W sieni stało dwóch mężczyzn, czarno ubranych, trzymających mary.

Byli to grabarz Pifferon i jego syn.

„Wejdźcie", rzekła Celestyna, „tu leży zmarła".

Grabarze weszli z marami do pokoju, ustawili je przy łóżku, podnieśli następnie Nanetę, i położyli ją na czarne sukno, jakiem były mary nakryte.

Stary Pifferon chciał właśnie zwłoki w sukno owinąć, — gdy Celestyna z płaczem rzuciła się na ciało zmarłej, objęła je obydwoma ramionami i całowała blade jej usta.

„Żegnam cię, moja siostro" wołała, zanosząc się od płaczu, — tam w górze zobaczymy się znowu, — ach, bodajby jak najprędzej!"

Wzrok młodego Pifferona ślizgnął się po jej pięknej postaci o rozkosznych formach i zrobił minę, jakby chciał powiedzieć, że, jeżeli się jest tak piękną, śmierci życzyć sobie nie trzeba.

Celestyna podniosła się wreszcie, — głowa opadła jej na gwałtownie falującą pierś, — rude włosy rozpuściły się, spadając jak płaszcz złoty niemal aż do stóp.

„Naprzód!" zawołał stary grabarz. „Nie mamy czasu do stracenia, — bierz, chłopcze, — ciężar to wielki nie będzie bo ona lekka".

„Czarne sukno zasłoniło ciało Nanety, — i ne, blade oblicze, które jeszcze po śmierci nie utraciło powabu, zniknęło w cieniach nocy.

Wynieśli ją grabarze. Głuchy odgłos niosących ją odzywał się echem. Celestyna miała uczucie, jakby po jej sercu stąpali.

Patrzyła za nimi, jak się zwolna oddalali, unosząc to, co miała najdroższego, — słyszała łoskot bramy za nimi przymykanej, — upadła na kolana i z ust jej wyrwało się wśród płaczu:

„Sama, — sama jedna na świecie!"

LX.

Fale zabierają — Fale wyrzucają!

Satanelli czekał na grabarzy przed bramą. Na znak dany przez niego postawili mary na ziemię.

„Prędko żeście się zwinęli", rzekł do nich pocichu. „Nie spodziewałem się, by tak gładko poszło. Dała wam zwłoki dobrowolnie?"

„Zanosiła się wprawdzie od płaczu", odrzekł Pifferon, „rzucała się na ciało, ale myśmy ceremonji żadnych nie robili, tylko prędko trupa zawinęli w czarne płótno i — dalejże z niem. Gdzież teraz mamy nieść? Czy mamy naprawdę pochować? — Szkoda tego pięknego cia-

ła. Znamy jednego lekarza, któryby nam bez targu zapłacił trzysta franków."

„Odemnie dostaniecie", — szepnął Satanelli, — „tysiąc, jeżeli rozkazy moje sumiennie wypełnicie."

„Tysiąc franków? — Hm, ładna sumka. Proszę rozkazywać, co mamy robić?"

„Zanieście trupa na cmentarz Montmartre", rzekł Satanelli, „tam włóżcie do trumny. — A macie jaką?"

„Na czemś podobnem nie zbywa nam nigdy", odrzekł Pifferon, „pół Paryża moglibyśmy pochować, gdyby tego było trzeba."

„Dobrze więc, gdy włożycie do trumny, nie przymykajcie narazie wieka albo tylko luźno na wierzchu połóżcie, bo za dwie godziny przyjdę tam z jednym panem, który zmarłą jeszcze raz chce widzieć. Jak nas obu obaczycie, usuńcie się na bok, bo chcę z nim być samnasam. — Gdzież zwłoki znajdziemy?"

„Panie markizie", brzmiała odpowiedź Pifferona, „tuż koło mego mieszkania jest mała szopa, tam składa się przed pogrzebem trupy biednych. — Sądzę, że tak będzie najlepiej, jeżeli zmarłą tam zaniesiemy."

„Wiem, gdzie to jest", rzekł Satanelli, „za dwie godziny będę tam z tym panem. Wiecie więc, czego od was chcę i spodziewam się, że zlecenia moje dokładnie spełnicie. — A pilnujcie tych zwłok, one dla mnie warte więcej jak dziesięć tysięcy franków."

„Rozumiem", zaśmiał się stary Pifferon, „jakiś bogaty pan kochał się pewnie w tej dziewczynie, — może ją zgubił — a teraz —"

„To was nic nie obchodzi", przerwał rozkazującym tonem Satanelli. „Wiecie, Pifferon, że nie lubię mieszania się w moje sprawy. Teraz idźcie, — i uważajcie na zwłoki. Biada wam, jeżeli za dwie godziny nie zastanę ich."

„Pan markiz może się na nas spuścić", rzekł stary Pifferon. „No, mały, bierz, — pójdziemy najkrótszą drogą do Montmartre, brzegiem Sekwany."

Podnieśli mary, — Satanelli schylił się szybko nad niemi, podniósł sukno, by się przekonać, czy to rzeczywiście siostra Celestyny.

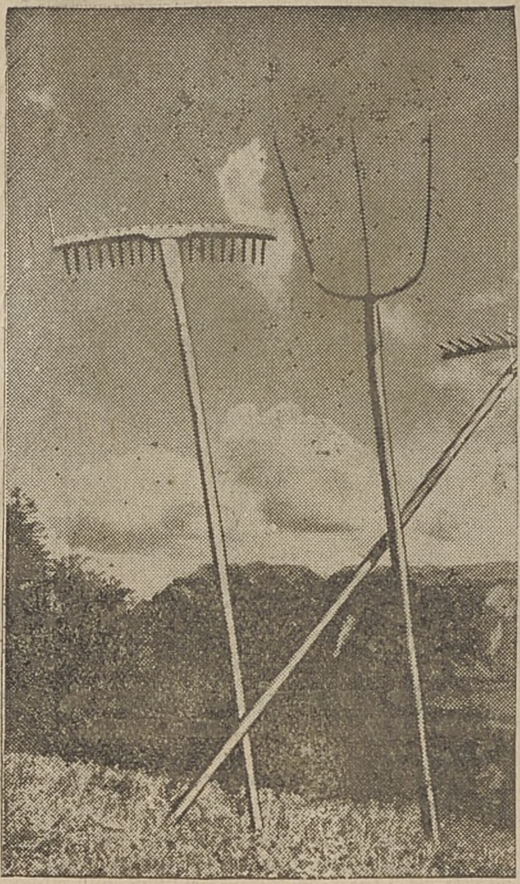
Stanął i patrzał tak długo, dopóki obydwaj Pifferoni z ciężarem swoim nie znikli na skręcie ulicy.

„Idzie jak z płatka", rzekł wtedy do siebie, powolnym krokiem oddalając się również od domu; „dziś jeszcze w nocy będzie miał pewność hrabia Kazimierz Zamski, że znalazł Anielcię, ale — jako trupa. Szukać tedy dalej nie będzie. A jeżeli Sekwana jej nie pochłonęła i ukaże się gdzie rzeczywiście, żywa w Paryżu, to z pewnością będzie już moją. Ta dziewczyna jest nieocenioną, bo kto kto ją posiada, — do tego należy zarazem piękna hrabina Lola Zamska, spadkobierczyni miljonów rodziny Sokolskich."

Gwizdnął, — za pół minuty zajechał jego powóz.

„Dokąd?" zapytał woźnica, gdy Satanelli przystąpił do drzwiczek powozu, „dokąd mam wieźć?"

„Do pałacu hrabiego Kazimierza Zamskiego na polach Elizejskich," brzmiała odpowiedź detektywa.



Zatknięte widły i grabie są oznaką ukończonych sianokosów.

Zniknął w krytym powozie, — woźnica zaciął, — konie ruszyły z kopyta."

Obydwaj Pifferoni kroczyli tymczasem pomału z ciężarem swoim brzegiem Sekwany.

Szli rzeczywiście najkrótszą drogą, by się dostać na Montmartre, ale droga była dosyć uciążliwa, bo brzeg był miejscami nadzwyczaj wąski a grabarze musieli bardzo uważać, by się któremu z nich nie pośliznęła noga, — spadliby bowiem razem z marami do wody.

Do tego noc była ciemna a wiatr ostry dął im wprost w oczy.

„Przeklęta noc", mruczał stary Pifferon, każąc synowi na chwilę położyć na ziemię mary, „tu nad wodą tak zimno, że aż po kościach wieje. — Poczekaj, chłopcze, łyk z flaszki dobrze nam zrobi."

„Będzie dosyć dla ciebie na dzisiaj, - dałbyś spokój ojcze!" rzekł syn. „Chociaż prawda, — zimno i wietrzno tu, — i łyk wódki rozgrzałby nas i dodał siły."

„Jeden łyk?" zaśmiał się stary Pifferon, — przyłożył flaszkę do ust i wypróżnił ją niemal do połowy. „Chłopcze, ja zawsze zadowalałem się w życiu tylko jednym łykiem. Takich dziesięć flaszek jak ta, to dla mnie niczem, chociaż pod „czerwoną kotką" dosyć się zalewałem. — Ach, — to robi dobrze, — jak ciepło i przyjemnie potem, — bierz, pij także!"

„Masz słuszność, ojcze", rzekł śmiejąc się szesnastoletni wyrostek, który już był tak zepsuty, jak stary zbrodniarz, „sznaps, to bardzo dobry wynalazek. — Co powiesz na to, ojcze, — jakbyśmy tak flaszkę jeszcze raz napełnić sobie kazali, tam widać jeszcze otwarty szynk. Nim dojdziemy na cmentarz, zdaje się, będziemy musieli kilka razy jeszcze się pokrzepiać."

„Brawo, chłopcze!" odparł stary Pifferon. „Wypróżniłeś flaszkę do dna, — trzeba się o nowe paliwo postarać, by ciało od czasu do czasu rozgrzewać. Zostań tu przy trupie, — a ja skoczę do szynku. — Tylko uważaj dobrze na trupa, słyszałeś, co markiz nakazał, — a on, jak wiesz, żartów nie lubi."

„Ten brodacz czarny", odezwał się Ludwik, syn grabarza, przysuwając się bez ceremonji do starego i podając mu flaszkę, „stary powiedz mi, co to za człowiek właściwie, — dlaczego taki straszny respekt zachowujecie wszyscy przed nim, — dlaczego robicie wszystko, co tylko wam rozkaże? — Do stukroć, on sobie rozkazuje jakby jakim panem był, a my jego służącymi — a przecież on nie lepszy od nas, — opryszek podobny nam."

Stary poczęstował swego synalka kułakiem w bok wrzasnąwszy prawie z wściekłością na niego:

„Będziesz cicho! — Zamkniesz raz gębę! Chcesz, by ci głowa z karku spadła wskutek tej głupiej gadaniny twojej, czy może chcesz nas wszystkich unieszczęśliwić? Ja ci powiadam, ten Satanelli słyszy wszystko, co się w Paryżu mówi i wie o wszystkiem, co kto tylko uczyni, — o, on wie dobrze kto jego przyjacielem, a kto wrogiem.

„Co on za jeden? — Ha, żeby to ja sam wiedział. Nikt nie wie tego. To właśnie tajemnica, — i dlatego właśnie obawia się go każdy. Ja wiem tylko tyle o nim, że potrafi wtrącić każdego do więzienia jak zechce, ale zarówno potrafi go także uwolnić, — słyszałem, że uratował nawet takich łotrów, nad których głową już stryczek wisiał. — Skazanych na gilotynę w ostatniej nocy przed wyrokiem wydarł z więzienia i przeparł ich ułaskawienie. Za to innych, którzy śmieli powstać przeciwko niemu, wpakował do kryminału, wyrobił na nich wyrok śmierci za przestępstwa, których nigdy w życiu się nie dopuścili. — Ja ci powiadam, smarkaczu, ten Satanelli ma bardzo trafne nazwisko. To nie Satanelli, tylko szatan wcielony, — tego muszą wszyscy słuchać, — musi się robić, co rozkaże, jeżeli się nie chce zawcześnie zawrzeć znajomości z piekłem."

„Tak się ma ta sprawa?" wyjąkał Ludwik niepewnym głosem. Ten dziwnie grzmiący poważny ton jego ojca, w jakim mu to wszystko wyłuszczał, nie mógł nie zrobić na nim wrażenia. Jeszcze nigdy nie słyszał swego starego rozprawiającego z takiem przekonaniem, — z takiem namaszczeniem.

„W takim razie", odezwał się pocichu, „lepiej będzie żyć z nim w przyjaźni, — z tym możnowładnym panem. Ale dlaczego nikt właściwie nie wie, jak on się nazywa?

„Nazywa się Satanelli — i uchodzi za bardzo znakomitego pana", odpowiedział grabarz, zacierając zmarznięte ręce i chowając flaszkę do kieszeni swego surduta. „Ale, com chciał jeszcze powiedzieć, — co prawda to prawda, — to hojny pan, — dał już niejednemu uciekającemu sporą sumę do łapy. I to nietylko, że pieniędzmi wspomaga, daje

jeszcze fałszywe papiery do podróży, z którymi można przejechać całą Francję, — ba, nawet całą Europę. — Ale więcej nie będę ci o nim opowiadał, — tyś jeszcze za młody, mógłbyś się gdzie wygadać. Teraz pójdę po wódkę, poczekaj tutaj na mnie i uważaj dobrze na trupa. Piorun ci strzeli w twoje piszczele, jak nie będziesz dobrze pilnował, — wiesz przecie, że musimy ją zanieść koniecznie na Montmartre."

„Idź tylko, stary, ja będę miał otwarte oczy", zaręczał go Ludwik. „Widzisz, usiędę sobie, tutaj na noszach obok umarłej, ano, niechby kto spróbował chcieć mi ją wykraść."

Stary Pifferon pokiwał głową z zadowoleniem, poczem potoczył się niepewnym krokiem do bocznej uliczki, w której świeciła się zielona latarnia, dająca znać, że znajduje się tam buda z trutką na ludzi, to jest wyszynk alkoholu.

Wszystkie te cuchnące spelunki, to składy lub destylacje wódki, za kilka centów może w nich biedniejsza ludność otrzymać likier lub nalewkę najróżnorodniejszego smaku lub koloru. To prawdziwe składy trucizny.

Nikt nie potrafi się wydrzeć z tych silnych kleszczów przyzwyczajenia, kto raz popadł w ten zgubny nałóg zalewania sobie pałki gorzałką, prędzej czy później stanie się niewolnikiem trucizny.

Ludwik popatrzył za starym, który właśnie znikł za drzwiami szynku.

„Mógłbym się założyć", zamruczał sam do siebie, „że stary mój nie powróci tak prędko z tej budy. Spożyje w spokoju umysłu kilka śliwek*), a ja, — ja muszę tymczasem tutaj marznąć przy trupie."

Kulawy Ludwik znajdował się rzeczywiście w nie do pozazdroszczenia położeniu. Zimny wiatr muskał fale Sekwany, — czasowo dął z taką siłą, że zrywał niemal czarne sukno z trupa.

„Szkoda tej młodej dziewczyny właściwie, że się ma ją tak krótkim procesem pochować", zamruczał Ludwik pod nosem. „Możnaby za nią dostać przynajmniej trzysta franków. Takie kupują chętnie doktorzy, — a znam i innych", dodał z ohydnym uśmiechem, „którzyby chętnie i tysiąc franków zapłacili za nią, bo jeżeli się nie mylę to trup dziewicy."

Ta myśl wpiła mu się tak uporczywie do głowy, że z ciekawością odchylił czarne sukno spoglądając w piękne, blade, spokojne oblicze Nanety z prawdziwą miną namiętnego fauna.

„Tak, tak, toby był dobry towar", odezwał się znowu, „taki zdałby się okropnie pewnym ludziom. Żeby tylko mój stary nie był taki głupi i nie bał się tak tego Satanellego jak piekielnego ognia, — ale, pocóż ja właściwie trudzę sobie głowę, starego i tak nie przekonam, nie zgodzi się na to, aby sprzedać tego trupa. Pogrzebią ją na Montmartre i robaki użyją sobie na niej — a tysiąc franków, które mógłbym zarobić djabli wzięli."

Tymi słowy zakończył Ludwik swoją pogadankę z samym sobą. Pomału ogarnęło go znużenie, przymknął oczy i schyliwszy głowę na piersi zasnął.

*) Śliwki namoczone we wódce, które szczególnie silnie działają bo nawskroś przesiąknięte są alkoholem.



We Francji coraz większem powodzeniem cieszą się napowietrzne podróże poślubne.

Nie chciał wprawdzie spać, ale wódka, którą wypił, uczyniła swoje, nie był jeszcze tak przyzwyczajonym do tej trucizny jak jego ojciec. Niedługo rozległo się wkoło mocne chrapanie, — sen zmorzył go na dobre.

Nagle ocknął się i podskoczył na siedzeniu. Usłyszał jakieś miarowe kroki wzdłuż Sekwany.

W jednej chwili otrząsnął ze siebie resztki snu, bo nauczył się już w twardej szkole rzezimieszków rozróżniać dobrze podejrzane miarowe stąpanie.

Rzeczywiście była to patrola składająca się ze sześciu żołnierzy i jednego sierżanta odbywająca właśnie wizytację brzegu Sekwany i przyległej opróżnionej części miasta.

„Do djabła", zamruczał Ludwik, „patroal nadchodzi, a starego nie widać. — Co ja mam im powiedzieć, jak mnie się spytają, w jaki sposób dostałem tego trupa! Uwierzą mi, jak im powiem, że to z domu „pod czerwoną kotką", że mam przetransportować te zwłoki na cmentarz Montmartre i że tam mają być pochowane?

Ha, — oni jeszcze dosyć daleko, możeby mi się udało ukryć gdzie tymczasowo trupa."

Ludwik skierował swój wzrok na krzaki, które tuż u wody pokrywały brzeg Sekwany i jakby stworzone były do tego, ukryć jakiś większy przedmiot przed okiem ciekawców.

Kulawy Ludwik wychowany przez swego ojca i wprowadzony troskliwie we wszystkie tajemnice łotrostwa, wiedział dobrze, że nie powinno się dwa razy namyślać nad raz powziętym zamiarem, — ponieważ patrola była jeszcze dosyć daleko od niego, odrzucił na bok czarne sukno, wziął na plecy zwłoki i poniósł je ile mógł szybko ku brzegowi wody.

Pomaszerował z pospiechem w kierunku krzaków, które wybrał jako kryjówkę dla trupa. Zwłoki zmarłej dziewczyny nie ciężyły mu zbytnio. Poniósł je na silnych plecach nie czując prawie ciężaru. Dobiegłszy do krzaku obrócił się i ujrzał, że patrola już znacznie się przybliżyła, — odległość od noszów wynosiła może trzydzieści kroków.

Nie miał czasu do tracenia, jeżeli nie chciał, aby go złapali przytem. Nie namyślając się ani minuty wczołgał się w zarośle wierzbowe i położył weń trupa.

Widział wprawdzie, że woda podchodziła aż do środka krzaku, że dotykała się prawie koszuli umarłej zalewając jej nogi, ale że Sekwana w tem miejscu nie była zbyt rwącą, więc rachował na to, że nie zdoła porwać ze sobą całego ciała, że będzie mógł te zwłoki, na których tak wiele zależało panu Satanelli, odwieźć na miejsce przeznaczenia, — dostawić na umówiony punkt.

Bez namysłu wyskoczył młody grabarz z za krzaka i zakładając ręce na plecy i gwiżdżąc znaną melodję katarynkową Paryża podszedł napowrót do noszów.

Jeszcze nie doszedł całkowicie, jak patrola się zjawiła. Sierżant począł uważnie przyglądać się młodemu z niedowierzaniem.

„Hej, a co wy tu robicie?" zawołał sierżant, „czemu kręcicie się tutaj nad brzegiem Sekwany o tak późnej porze nocnej, — a co to za nosze, co one mają znaczyć?"

„Te nosze, — ot jak widzicie, jakem zmęczony siadam sobie na nie, ot tak, możebyście chcieli także sobie odpocząć, proszę bardzo, zrobię wam miejsce. Możeście się także zmęczyli?"

„Smarkaczu, co to za odpowiedź, jak zechcesz mi tak dalej odpowiadać każę cię zaaresztować. Skądeś tutaj i kto jesteś?"

„Kto ja jestem?" odpowiedział Ludwik, patrząc się bezczelnie w czarno zarosłą twarz sierżanta. „Jak się dowiecie kto ja jestem pomyślicie sobie niezawodnie, raczejbym nie zawierał znajomości z nim, — miło to wam nie będzie. Jestem synem grabarza Pifferona z cmentarza Montmartre!"

„Ach grabarz!" zamruczał sierżant. „Teraz rozumiem co znaczą te nosze! Odnieśliście zapewne jakieś zwłoki?"

„A tak, niby" drwił Ludwik.

„Ale przecież nie mogłeś sam dźwigać tych noszy, gdzie twój towarzysz?"

„Pyta się pan o mego starego? Ten siedzi tam w szynku, tam, gdzie się ta latarnia świeci. Zabezpiecza się przed zimnem i rozgrzewa ciało sznapsem, nie uwierzyłbyś panie sierżancie, co za spory zapas trzeba mieć w sobie, jeżeli się musi przestawać ciągle z trupami!"

„A więc trupa odnieśliście na miejsce przeznaczenia?" zawołał sierżant ostro.

„A juści."

„No, to postarajcie się, aby wasz stary wyszedł i idźcie do domu, dziś wieje przeraźliwie zimny wiatr tutaj nad wodą, oprócz tego tutaj dosyć niebezpiecznie. — Na ramię karabiny!" — —

Jak tylko aptrola się oddaliła opszedł Ludwik na dół do wody.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

HUMOR

Kwestja kostjumu

Aktor, który ma grać rolę kasjera, pyta:
— Dyrektorze, jak mam się ubrać do swej roli?
— Ubranie podróżne i walizka w ręku.

Kawał dla malarzy

Zachęta. Przed obrazem, wyobrażającym strojną kobietę, staje jakaś pani i z zachwytem przygląda się płótnu.
Widząc to, obecny na sali młody malarz, twórca tego obrazu, zbliża się, by nasycić zbliska swą dumę.
— Ach, — zwraca się nagle dama, — czy nie wie pan, jak można zobaczyć twórcę tego malowidła?
— Jestem do usług, — skłania się roztopiony w szczęściu malarz.
— W takim razie, proszę mi powiedzieć adres krawcowej, u której ubiera się pańska modelka.

Konjunktura

— Mój interes prosperuje znakomicie.
— No, no, w tych czasach?
— Założyłem instytut poprawy dla mężów, w którym muszą przebywać przez cztery tygodnie bez żon.
— I co?...
— Żaden z nich nie chce wracać do domu.

Skromność

On: — Śniło mi się tej nocy, że prosiłem o rękę najpiękniejszą kobietę świata...
Ona: — Tak? I cóż ja na to odpowiedziałam?...

Oświadczyny

Młodzieniec:: — Przyszedłem prosić o rękę pańskiej córki.
Ojciec: — Samej ręki nie mogę panu dać. Weź pan całą córkę.

Czas to pieniądz!

Dwaj znani autorzy postanowili razem napisać sztukę. Mieli zacząć na drugi dzień. Spotkali się więc w oznaczonym terminie i jeden pyta drugiego:
— Masz już pomysł?
— Nie, a ty masz?
— Też nie mam.
— No to nie traćmy czasu i zaczynajmy pisać.

W czasach brydża...

Pierwsza lekcja muzyki. Wykład teoretyczny. Pan profesor wyjaśnia:
— Więc proszę sobie zapamiętać... Jeżeli gra jedna osoba, to się nazywa „solo“... Jeżeli grają dwie osoby, to jest „duet“... Jeżeli grają trzy osoby — „trio“ A jeżeli grają cztery osoby?...
— Wiem!... To jest brydż!



„Czy słyszałeś już o tych 100 zł, które pożyczył od ciebie sąsiad?“
„Słyszę je codziennie, bo kupił sobie za nie radjo“.

Posada

— Cóż porabia twój brat, który miał dostać posadę w magistracie?
— Nic, nie robi.
— Dlaczego?
— Bo już ma tam posadę.

Podziękowanie

Karolek: — Wiesz, mamusiu, dostałem od tej pięknej pani z sąsiedztwa dwie paczki cukierków.
Matka: — Czy podziękowałeś?
Karolek: — Pewnie! Mówiłem jej, że żałuję bardzo, czemu tatuś nie poznał jej, zanim się z mamusią ożenił.

Flegma

Dwaj anglicy siedzą w kawiarni i grają w karty. Jeden z nich co chwila odwraca się i rzuca spojrzenie do szatni.
— Cóż tak patrzysz na wieszaki? — pyta zaintrygowany towarzysz.
— Boję się żeby mi nie skradziono palta.
— Co ty wygadujesz, w tej kawiarni jest to niemożliwe.
— Owszem, możliwe, — ze spokojem odpowiada tamten — przed paroma minutami skradziono właśnie twoje palto.

Zdrowie

Dwie przyjaciółki rozmawiają podczas przerwy w teatrze:
— Cóż to się stało, moja Stefciu, że masz takie różowe policzki?
— To moja kochana Polu, rumieńce młodości i zdrowia.
— No, to Stefciu, z lewej strony jesteś znacznie młodsza i zdrowsza niż z prawej.

W pociągu

Konduktor: — Dla dziecka bilet pani ma?
Pasażerka: — A bez biletu nie wolno mieć dzieci.

Pantofel

Żona: Słuchajno, co się z tobą dzieje? Co noc mówisz przez sen.
Mąż-pantofel: Przepraszam cię, moja duszko, ale kiedy właściwie mam mówić? Przez cały dzień nie dopuszczasz mnie przecież do słowa?

Kupiecki spryt

— Na czem polega dzisiaj spryt kupiecki?
— Na tem by sprzedać dolary we właściwym czasie.

Aspiracje kota

— Kot pański wyprawia po nocach straszne hałasy!
— Od czasu kiedy zjadł aknarka wydaje mu się, że umie śpiewać.

Jałmużna

Pani (do żebraka): Dopiero wczoraj byliście tu i dałam wam całą pieczeń z obiadu.
Żebrak: Wiem o tem, ale mimo najlepszej chęci i trudu nie udało mi się tej pieczeni przełknąć.

Zimna krew

Dozorca telefonuje do straży ogniowej:
— W naszym domu wybuchł pożar.
— U kogo?
— U mleczarza.
— No, to niema strachu, wodę ma pod ręką.

Nawróci go

— Nie poślubię Karola, bo jest niedowiarkiem i nie wierzy w piekło.
— Wyjdź za niego, to uwierzy.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin. (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.